



CW 9013

Cena 20 zł.

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III Warszawa, 29 czerwca 1947 r. Nr 26 (83)

TREŚĆ NUMERU: L. M. Bartelski: Maria z ognia; J. A. G. — Z prasy francuskiej; K. Koźniewski: O czwarty podział Montegiusza; St. P.: Na widowni; Wł. Pietrzak: Refleksje nad twórczością Nałkowskiej; J. Woźniakowski: Z pamiętników literata; Nik Roztworowski: Foster Parents; St. Podlewski: Przemarsz przez piekło; J. A. Górski: Problem młodych małżeństw; J. Zawieyski: Rozdroże miłości; Z zagadnień gospodarczych.

Jan Dobraczyński

# MISTYKA WIEŻY BABEL

WSTĘP I AUTOR

Leży przede mną świeżo wydana książka Jana Stachniuka, przysłana do naszej redakcji z kartką od autora: „z uprzejmą prośbą o recenzję”.

Autora znamy nie od dziś. Już przed wojną napisał kilka tętniących temperamentem książek, jak: „Heroiczna wspólnota narodu” i „Państwo a „gospodarstwo”, w których stawiał tezę, iż katolicyzm przy czynił się do ustroju gospodarczego, a tym samym do upadku politycznego Polski przedrozbiorowej. Duża szczerść, jaką, zdarzało się, czuł czytelnik w książkach Stachniuka, zachęciło rozmaitych ludzi (m.in. Stanisława Piaseckiego), do prób dyskusji ze Stachniukiem. Doszło nawet do zetknięcia Stachniuka z O. Bodzeńskim, który starał się wytłumaczyć Stachniukowi, iż nazywa on mianem katolicyzmu to, co jest dalekie od katolicyzmu. Stachniuk nie został jednak przekonany.

Wybuchła wojna. Zaraz w pierwszych tygodniach okupacji niemieckiej pojawiła się na półkach księgarskich książka Stachniuka „Dzieje bez dziejów”, będąca dalszą próbą atakowania katolicyzmu, a właściwie tego czegoś, co Stachniuk nazywa katolicyzmem. Wstęp obecnie wydanej książki Stachniuka wyjaśnia, iż „Dzieje bez dziejów”, opuścił drukarnię 16 sierpnia 1939 — lecz „w obawie konfiskaty nie spieszyliśmy się z kolportażem”. W obawie konfiskaty? Brzmi to nieszczerze. Konfiskat przed wojną wiele nie było, a już książki o tendencji akatolickiej cieszyły się łaskawą opieką rządów sanacyjnych. Zwłaszcza, gdy ich autor słusznie czy niesłusznie związany był w opinii z obozem narodowym. Jakiż byłby to atut w polityce obozu rządzącego w tym czasie Polska, aby wykazać akatolickie stanowisko pewnych kół młodzieży narodowej!

„Dzieje bez dziejów” dał mi zimą 1939 r. do przeczytania K. Irzykowski. Egzemplarz, kóry od niego otrzymałem, miał marginesy zapisane gęsto uwagami autora „Pałuby”. Złośliwie to były uwagi i dla książki miażdżące. Irzykowski bez litości szydził z naiwności rozmowań Stachniuka, z prymitywizmu jego tezy, bliskich prymitywnym tezom teoretyków narodowego - socjalizmu.

Sam w tym czasie sarkałem nad „Der Mythos des XX Jahrhunderts” Rosenberga. Zaskoczyło mnie podobieństwo wniosków wysuniętych

\*) Jan Stachniuk „Człowieczeństwo i kultura”, anonimowe wydawnictwo poznańskie, oznaczone symbolem krzyże w kole (?), r. wyd. 1946, str. 272.

z obu książek. Podobieństwo to zbumiewało także innych. Niedługo potem wpadła mi w rękę broszura — zdaje się miała tytuł „Pod dyktandem Berlina” — wydana przez F.O.P. (Front Odrodzenia Polski), zestawiająca cytaty z książek Stachniuka i Rosenberga. Podobieństwo było oczywiste. Tej oczywistości nie zmieni fakt, który podaje obecnie Stachniuk, że broszura została napisana na skutek sugestii konfidenta „Zadrugi” (organizacja pogańsko - społeczno - artystyczna, której filarem był Stachniuk) w „ognisku mafii polekatolickich”.

Pisze we wstępie Stachniuk: „pewnego dnia — alarm! — Sławber, jeden z aktywniejszych „zadrugan”, aresztowany przez gestapo. Poszliśmy w rozsypanie”. „Nie każda organizacja szła w tym czasie w rozsypanie po „wpadnięciu”, jednego ze swych członków. Nie każda także organizacja broniąc swych członków, pokrywała się zasłoną dymaną kłamstw... o sobie. Stachniuk przyznaje się z dumą do t.zw. przez siebie „czkawek” — czyli po prostu do rozpuszczanych plotek o rzekomej współpracy „Zadrugi” z Niemcami, do broszurek, w których sam pisał „w nastroju najwyższej wesołości” o tym, iż: „Dzieje bez dziejów”, jak udowodniono, były tłumaczeniem „Mitu XX wieku” Rosenberga... itp.

Jakoby „była to broń jedynie skuteczna”. Czy była piękna? — to

tym można by dyskutować. W każdym razie nie znam w kręgu bliskich sobie organizacji podziemnych ani jednej, która bezpieczeństwo swych członków kupowała poniżeniem własnych ideałów. Rzuca to niemiłe światło na autora książki. Nie można się oprzeć podejrzeniu, że stosuje on nadal metodę „czkawek”. Zwłaszcza podejrzenie brzmi, gdy sugeruje czytelnikowi, iż zarzucano mu „komunizm” (?), gdy pisze o „lwiej zasłudze marksizmu” (w wysuwaniu przyszłych form społecznych), o tym, że „opinii dla ludu — jest to słuszne sprostowanie” itd. Nie mam zreszłą zamiaru demaskować Stachniuka. Oto, po prostu — nie mam zaufania do szczerości „czkawczego” pisarza...

### „HUND BEGRABEN”

Książka Stachniuka jest jeszcze jedną próbą postawienia tej samej co w książkach poprzednich tezy. Trzeba powiedzieć, że jest nawet tak niesmaczna teza, mogła przy pierwszym jej postawieniu zainteresować, to powtarzanie jej — tylko nuży i nudzi. Zwłaszcza, że Stachniuk coraz mniej szuka argumentów coraz bardziej chce mówić ekate-dre, tonem nie znoszącego sprzeciwu dogmatyka. (Co za ton! Np.: „Wszystkie metafizyki, filozofie mięści się muszą w tych kategoriach. Żaden czwarty światopogląd istnieje nie może”). Na dobitkę je-

zyk Stachniuka, który zawsze kwitł najdziwniejszymi nowotworami w ostatniej książce staje się po prostu ledwo zrozumiałym bełkotem. Nie chcę być gołosłowny — zwłaszcza, że nie sądzę, aby się wielu czytelników tej naiwnej — nudnej książki znalazło — więc cytuję:

„Sokrates postępuje tak, jakby personalizm i indywidualizm sprawce były tym samym”.

„Ciało ludzkie, w swobodnym układzie, czy też sprężone w wysiłku, dawało wgląd w najtajniejsze przywiązanie mitu. Otwierało perspektywy widzenia, niedostępne myśli spekulatywnej...”.

„Skołowaciale, nieszczesne miliony jednostek, znajdując jedynę ujście w niezamordowanym dreptaniu „wkołoróżniców”. W potwornym cierpieniu, w bezbrzeżnym wstręście do życia, do siebie samych trwa opętany. szaleńczy taniec dokoła kikutów „moralności”, „wszechmiłości”, „człowieka” i „ducha”.

Stachniuk, aż do znudzenia (od nudności) powtarza swoje zabawne terminy, jak: „kikut kosmiczny”, „liryka trawienia”, „rozekana wszechmiłość”, „wkołoróżnica”, „wspakultura”, „kulturowytwory”.

Pod tym względem jest rzeczywiście oryginalny. Poza tym — mało wnosi oryginalność (natomiast przerażająca gadatliwość). Cjagle na horyzoncie jest ten nieszczęśliwy Rosenberg...

Ludzkością — u Stachniuka — rządzi mit. „Mitem — pisze — będziemy... nazywać plon akcji dziejowej, wyszutowany przez „automatyzm intuicji wynalazczej z całego dorobku kulturowytworów w danej epoce”. (Konia z rzędem, kto to zrozumie! Jerzy Sorel mówi jednak jaśniej). Ludzkością u Rosenberga rządzi także mit. „Czymże jest jednak realizacja mitu? — pyta Stachniuk. I odpowiedź: Istotą jej jest wola przetwarzania środowiska według wizji danego mitu za pomocą prostego i konsekwentnego czynu. Zakres czynu... obejmuje całość życia niezliczonych jednostek. Im większy... mit, tym mniej przewrotności, intymności osobistej...”. Rosenberg krócej: „Du bist nichts — das Volk ist alles”. Stachniuk twierdzi, że podział na religie i sztukę „jest w wysokim stopniu konwencjonalny, gdyż jedna i druga są właściwie tej samej natury”. Rosenberg mówi, iż narodowi niemieckiemu religia nie jest potrzebna ponieważ te same uczucia wypowiada w sztuce. Dla Stachniuka „pierwsze błyski syntez kulturowych”, to pieśni Rigwedy i system Zaratustry. Rosenberg podkreśla, że oba owe „błyski” są pochodzenia aryjskiego. Stachniuk mówi, iż „wspakultura” katolicka ma swe rezerwy w „odpadkach społecznych, w tym wszystkim co jest dalekie od urodzenia, niedane, niższe biologicznie, (czyli rasowo?) albo zdegenerowane...”. Wystarczy przypomnieć rolę mas niewolników w dziele zniszczenia kultury antycznej... „Rosenberg to samo, tylko wyraźniej — o Herrenrasie, Herrenvolku, różnicach rasowych — i także o buntach niewolników w starożytnym Rzymie... Stachniuk podkreśla znaczenie „wielkich namietności” u herosów indywidualizmu. Rosenberg jest śmielszy. Pisze o wielkim „geście lucyferyzmu”, — który przecież nie jest zwyczajnym satanizmem, ale właśnie spiętrzeniem twórczych namietności woli hartu. Dla Stachniuka „Sokrates jest demonem rozkładu, wynurzającym się stale (?) ze ścieków upadłego społeczeństwa”. Rosenberg dodaje, iż nawet „monogolski” wygląd genialnego filozofa wskazuje na jego niższość rasową i związek z żydowsko - azjatyckim światem rozkładu. (Stachniuk nie zostaje w tyle, pisząc, że rozkład kultury antycznej spowodowany został przez „włączenie się problematyki nie wykończonych kultur totalnych z Azji w moment kryzysu świata antycznego”). Dla autora polskiego: „Jeśli Cezara pozabawimy wszelkich jego czynów państwowych, literackich, wojennych, społecznych itp. słowem — jeśli wymażemy go z historii i kultury, to co będzie go odróżniało od niewolnika, który przecież też uro-

## Wytyczne

### O młodzieży i do młodzieży

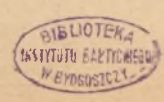
Kierunek dyskusji w sprawie reformy szkolnictwa wyższego, obserwacje stosunków w warszawskim Klubie Młodych naukowców i artystów wreszcie uwagi prof. Chałasińskiego zamieszczone w nr. 24 „Kuźnicy” wskazują na to, że zbyt rzadko zwraca się uwagę na problematykę wychowawczą młodzieży akademickiej. Chodzi przy tym nie tyle o poruszane aż nazbyt często zagadnienia włączenia młodzieży w życie polityczne i jej stosunek do dziejącej się rewolucji ile przede wszystkim o zagubiony przez wojnę rys wzajemnej życzliwości, będące najistotniejszą więzią społeczną.

Czasy przemian zawsze noszą ze sobą poniżenie jednostki, która wobec tragedii zbiorowych staje się elementem nie branym pod uwagę. Tolerowanie jednak tego rodzaju stosunków na dłuższą metę prowadzi do katastrofy. Pierwszym krokiem do wyjścia z kryzysu w tej dziedzinie jest wzajemna życzliwość, która powstać powinna mimo różnic światopoglądowych i politycznych, jako zasadnicza cecha stylu życia.

Dlatego wołać będziemy do społeczeństwa, do partii politycznych, prasy i urzędów by znikły wszystkie publikacje, wypowiedzi i posunięcia nacechowane niechęcią i nienawiścią. Przenoszą one bowiem najgorsze tradycje poprzedniego pokolenia na pozbawionych skali prównawczej najmłodszych.

Dlatego wołamy do młodzieży o powstanie nowej wzajemnej postawy. Postawy poszanowania drugiego człowieka, zaufania do jego intencji i życzliwości do jego osoby.

W społeczeństwie polskim może istnieć walka, sprzeciw i chęć przekonania o własnej prawdzie, — nie może istnieć nienawiść.



Dm 191 012



Lesław M. Bartelski

# Maria z ognia

Halina

Znam dobrze dzieje tamtych dni, które minęły,  
nie wiem, jaki mi przysze los szykują?

Błądząc samotny, pytam przechodniów: czy jestem z ocalonych?  
a oczy pałą, żółtą twarz jak wosk  
i nikt nie patrzy w zrenie dno —  
każdy odchodzi w swoją stronę.  
Nie wiem, gdzie dobro jest, gdzie zło?

Chciałem grać o tęsknocie: niostem obce imię fałszywą nutą,  
to było dawno. Nie znałem wielu rzeczy, nawet siebie.  
Byłem smutny i przygnębiony. Szukałem zapomnienia  
i słów głęboko skrytych w twardym dźwięku.  
Lecz uczyniłem wybór, kiedy patrzałem w rdzeń płomienia:  
miał kolor błękitnawy, pełny ciemniejszych sęków.  
Dostrzegłem w ogniu Marię.

Daleko już poza mną dni tamtych dziwny sens,  
jak nuty skute w cztery ściany strun i we mnie.  
który kamieniem był i ożył.  
Twarz moją słońce pali i widzę jasną przestrzeń  
i w niej zamknięte miasto jak w pudle pełnym blasku.  
Nie wiem, lecz czuję: wokół pożar  
ogarnia każdy skrawek ulic, domów i sięga pięter,  
na których przebywają zakochani.  
a ślepe okna płomieniem drgają rudym.

Bo miłość jedna jest i nie ma granic,  
niełatwo ją wymierzyć wiernym słowem.  
Mario, uczyć się Ciebie na pamięć.  
znam zarys śmiałych ust i profil twarzy,  
jak dziecka sen różowy znam kształty ciepłych dłoni,  
dziecka, które śni stygnące białe statki na przystani  
na rzece niewpisanej w żadną z prawdziwych kronik.

A miasto wokół nas jak otów lasnice jest  
w stalowej ramie chmur, które mijają obojętnie  
gmachy zwęglone w pył ceglany.  
Gruzy wletrzeją w srebrną kość, krusze jak mleczu kule  
i rosą w kwiaty, kiedy powiadasz mi, że kochasz.  
I wtedy wiem, że inny czas odkrywa prawdy zakochanym,  
a inny smutnym:  
proste uczucie kwitnie w nas.

Wędrowki nasze, Mario znasz: poprzez ogrody pełne warzyw  
nad brzegi siennej rzeki, gdzie rybitw lot  
przez ciemne niebo srebrem nakreślony  
Twój siwy z Sachsenhausen mi przypomina włos,  
a brzeg daleki jeży się ostrą wikliną,  
topole i kasztany w chmurne zatarte niebo,  
gołębie sine jak dymów pnie,  
wiatr na Twoich rękach pejążem sennie zamglonym,  
a w Twoich oczach miasta cień i profil mojej twarzy.  
Jak ocalony teraz wiem, że obcym wobec siebie  
każdy kto nie potrafi kochać albo śnić.

Oto zyskałem sen, który zamknięty we mnie dźwięczny jest,  
nie tylko sięga naszych serc, lecz wgłęb poza nie.

Kocham na nowo, uczyć się Ciebie na pamięć,  
imię Twoje kołyszę: Mario, Mario!

Za oknem słyszę inny dźwięk: skrzypek wywodzi ton płacziwy,  
instrument nagle pękł i spłonął.  
Oto zyskałem sen, który zamknięty we mnie dźwięczny jest,  
nie tylko sięga naszych serc, lecz wgłęb poza nie.  
Wyjrzyj przez okno: liść zbutwiały uderza  
o chodnika krawędź jak papierowe czółno w brudnym nurcie ścieku.  
Tak mija wszystko: płomień, sen i gest,  
a życie dla nas wysoką szklaną ścianą,  
za którą niewiadomy dzień.  
Lecz miłość jedna jest i granic nie ma —  
nasze imiona pozostaną  
wpisane w nią na zawsze jak teraz w mój poemat.

Gdy się uczyni wybór, gaśnie ogień  
i człowiek żywy jak zdobyczone dłoń podaje.

dział się trawie, przeżywa pancierple-  
nie, pantęsknoty itp. ? Nic. Wszyscy  
więc są równi. Nihilizm kulturowy  
pociąga za sobą negację ducha kul-  
tury, a dalej znów kosmopolity-  
cizm, przecierpienie, kosmiczną  
wszechliwość dla całego rodu ludz-  
kiego. Słowem — wleźć do beczki(?)  
i płakać. Tak też uczynił Diogenes“.  
Dla Rosenberga nierówność przyro-  
dowa między przedstawicielem rasy  
panów a przedstawicielem rasy nie-  
wolników nie wymaga aż tak fine-  
zyjnych powiedzeń. Stachniuk pi-  
sze o Germanach, że ich „mło-  
dzieńczy dynamizm“ został „za-  
przęgnięty w dzieło realizowania i  
upowszechniania wspaniałostkowych  
ideałów“. Rosenberg — prawie to  
samo — gdy mówi, jak zmuszono  
jednych Germanów aby walczyli  
przeciwko drugim na polach Kata-  
lońskich dla obcych interesom ger-  
mańskim celów. Dla Stachniuka  
jest rzeczą oczywistą, że i Kościół  
i cesarstwo chciało chrztu ludów są-  
siednich, przecież w ten sposób lu-  
dy te były osłabiane. Rosenberg —  
słowem to samo — to samo. Dla  
Rosenberga „ewangelia“ ludów ger-  
mańskich są Nibelungi. I Stach-  
niuk: „Jeśli by szukać źródła odpor-  
ności, dzięki któremu (czasy średnio-  
wieczne) wytwarzał w zabójczych  
oparach „naśladowictwa Chrystu-  
sa“, wskazać możemy na Nibelun-  
gi...“. Stachniuk oburza się na tra-  
dycję „twardych i dobrotliwych“  
Słowian. Rosenberg — to samo.  
On nawet uznaje pokrewieństwo lu-  
dów Germańskich i Słowiańskich!  
Dla Stachniuka gotyk nie ma nic  
wspólnego z katolicką „wspakultu-  
rą“. Dla Rosenberga gotyk — to an-  
tykatolicka niemczyzna. Dla Stach-  
niuka protestantyzm tylko pozornie  
i powierzchownie należy do chrześ-  
cijaństwa, dla Rosenberga — akt  
pierzyszy rewolucji narodowo - so-  
cjałistycznej to Ekkehardt. drugi —  
Luter, trzeci Hitler...

Nie, nie, wcale nie chcę twier-  
dzić, że Stachniuk wszystko czer-  
pie z Rosenberga. Raczej skłonny  
jestem przypuszczać, iż mamy do  
czynienia z zadziwiającym podobień-  
stwem myśli. Raczej sądzę, że  
Stachniuk nigdy Rosenberga nie  
czytał, bo przecież nie byłby go chy-  
ba aż tak dokładnie naśladował.  
Może wreszcie, między Rosenber-  
giem a Stachniukiem leży jakieś nie-  
znane bliżej źródło, z którego obaj  
czerpią...

Ale fakt pozostaje faktem, że gdy  
dla Rosenberga istnieje tylko mit ra-  
sy aryjskiej, który walczy z demo-  
nem chrześcijaństwa i żydostwa, to  
dla Stachniuka „tylko na niewiel-  
kim... obszarze półn. - zach. Europy  
(chyba nie Skandynawie i nie Ang-  
lia?) i Ameryki tętni wolne od jej  
(tzn. chrześcijańskiej „wspakultu-  
rury“) mieczmatów życie“, tylko  
„kraje protestanckie: Anglia, Skan-  
dynawia, Niderlandy i północne Niemy  
cy z Prusami na czele... stają się  
pionierami wspaniałego rozwoju  
kultury (??)“.

I tylko jedno dzieli Stachniuka i  
Rosenberga. Rosenberg nie mówi

nie o masonerii. Dla Stachniuka na-  
tomiasz: „Protestantyzm uzupełnio-  
ny pozycją społeczną inteligencji jest  
podstawą wielkiego ruchu. Z tego  
połączenia wyrosły wszystkie ognis-  
ka umysłowe. Przykładem tego mo-  
że być masoneria...“.

## ALSO SPRACH ZARATHUSTRA

Wydaje mi się, że u podstaw mi-  
tów Stachniuka i mitu Rosenberga  
leży literacka utopia Nietzschego.  
Autor „Zarathustry“ wyznaje wiarę  
w walce Arynizmu z Ormuzdem, zle-  
go z dobrem. Ta prymitywna wiara  
jest właściwą także Stachniukowi.  
Autor „Chrześcijaństwa i kultury“  
nie rozumie ich zdawałoby się dziś  
jasnej problematyki skomplikowania  
duchowego człowieka. Dla niego  
człowiek — lub naród — musi oscy-  
lować zawsze między diabelstwem a  
anielstwem. Człowiek w stanie  
zwykłym, słaby, a jednocześnie sil-  
ny — nie istnieje. Przytoczmy: czło-  
wieczeństwo to tylko most do nad-  
człowieczeństwa. Trzeba więc za  
wszelką cenę to nadczłowieczeństwo  
zdobyć. A przecież istnieje „nad-  
człowieczeństwo szatanów“ — trzeba  
walczyć o „nadczłowieczeństwo anio-  
łów“.

Markszizm także wierzy, że w pew-  
nym stadium warunków zewnętrz-  
nych powstanie społeczeństwo anio-  
łów. Stachniukowi nie są potrzebne  
warunki zewnętrzne. On swój nar-  
ród aniołów urobić chce z jakiegoś  
antyintelektualnego „politycznego“  
„pełnego entuzjazmu“ chcenia. Ma-  
my do czynienia z nitzscheowską  
„Wille zur Macht“ — wolą twórczą  
— zdolną wszystko osiągnąć. Słow-  
em idealizm „pur song“.

Na tle błędów światopoglądu (uj-  
muję rzecz skrótami, ponieważ wy-  
daje się całkowicie jasne) Stachniuk  
wysuwa słuszną tezę **obowiązku**  
**twórczości** każdej jednostki ludzkiej.  
To, że człowiek jest twórcą, zarów-  
no w sensie duchowym jak i mate-  
rialnym, uznawane było zawsze w  
katolicyzmie. Człowiek jest stwo-  
rzony na „obraz i podobieństwo“  
Boże — a przecież Bóg jest twórcą  
więc i człowiek winien być twórcą.  
Została mu zresztą powierzona zle-  
mnia z obowiązkiem urządzania i pod-  
dawania jej sobie. Szkoda, że kry-  
tycy katolicyzmu ograniczają się w  
polemice do wyrwania jakichś po-  
jedynczych zdań czy fragmentów  
zamiast zadania sobie trudu pozna-  
nia całej nauki katolickiej.

Już kiedyś słusnie zwrócił uwa-  
gę ks. biskup Wyszyński, że Nowy  
Testament jest wykończeniem i zam-  
knięciem doby Starego Testamentu.  
ale nie jego przekreśleniem — więc  
też i cały szereg nauk i wskazówek w  
Starym Testamencie zawartych, za-  
chowuje po dziś dzień swoją aktual-  
ność. Odnosi się to przede wszystkim  
do zagadnień społecznych. Sta-  
ry Testament jest szkołą twórczego,  
aktywnego życia, i jako taki roli  
swej nie utracił. Nowy Testament  
mniej tych elementów wprowadza  
— ogranicza się do zagadnień życia  
duchowego. O tym trzeba przeczy-  
tać.

Gdyby katolicyzm był — jak to sobie  
wyobraża Stachniuk — jakąś szkołą  
bezczyńności, absolutnej bierności,  
należałoby sobie zadać pytanie, skąd  
się wzięły wszystkie zdobycze kultural-  
ne ostatnich 20 wieków. Tendencyj-  
ne dowodzenie Stachniuka, który  
wszystko co mu się w dziele chrze-  
ścijaństwa podoba wyłącza spod je-  
go wpływu — mogą przekonać tylko  
naiwnych. Powiedzenie, że „nie  
może istnieć wielka sztuka wspa-  
kultury“ — dowodzi albo naiwnego  
zamykania oczu na największą ludz-  
ką sztukę, albo — błędu w rozumo-  
waniu. Zresztą rozumowanie Stach-  
niuka są tak mało ścisłe, że wielo-  
krotnie zaprzecza sam sobie na tej  
samej stronie. Podam tylko jeden  
przykład: Na str. 90 powiada, że  
właściwością człowieka — w odróż-  
nieniu od zwierzęcia — jest odczu-  
wanie „smutku przemijania“. Parę  
wierszy niżej pisze: „im życie da-  
nego indywiduum jest uboższe, mniej  
sprzęgnięte z kulturą, tym głębszy  
musi być w nim niepokój i odczu-  
wanie smutku przemijania...“. Po-  
dobnych nonsensów jest wiele.

Jakżeż zresztą można dyskutować  
ze Stachniukiem, który pisze: „Wspa-  
kultura totalna (więc niby katolici-  
cizm) jest męką błądzącego człowie-  
ka; ma ona w sobie wiele podo-  
bieństw do okrutnej tortury stoso-  
wanej w średniowieczu... Niwecze-  
nie życia, męka rozdzierającego hu-  
manizmu, jest tu chyba nie mniej-  
sza. Ogarnijmy tylko wyobraźnia  
dzieje buddyzmu, chrześcijaństwa,  
jego instytucje, kościoły, zakony -  
pustelnie, regułę codziennego życia!“  
Jeśli takim jest chrześcijaństwo —  
to czym wytłumaczy Stachniuk jego  
zwykłe trwanie przez tysiące lat.  
Uwielbieniem męki? Niechęcią do  
szczęścia? Więc dla beznadziejnej,  
tragicznej wegetacji umierały milio-  
ny? Więc dla niczego żyli święci —  
jedyni ludzie — nikt poza katolici-  
cizmem takich nie ma — którzy po-  
trafiliby wyrosnąć ponad poziom ludz-  
ki? Jedyni nadludzie!

Występowanie przeciw chrześcijań-  
stwu w imię humanizmu i prawa do  
twórczości jest rzeczą śmieszna. Wię-  
cej oczekiwaliśmy od Stachniuka. Je-  
śli jego książka — jak pisze — ma być  
„wynikiem długiej ewolucji“ — to  
była to ewolucja dekadentka. Autor  
schodzi w niej ku coraz naiwniej-  
szemu przetrwaniu starych złudzeń.  
Dochodzi do uwielbiania nieosiągal-  
nej świątyni aktywności ludzkiej —  
wieży Babel.

Jedno mnie tylko zastanawia: ten  
krytyk na stronie tytułowej książki  
Fomijam, że znak krzyża w kole na-  
leżał już kiedyś do jakiegoś towa-  
rzystwa wydawniczego. Lecz po co  
sięgać po ten symbol, gdy się uważa  
za głosiciela człowieka, który „wyr-  
wał się z zaklętej kolei wkołoróżań-  
ca... dojrzał coś, co jest już poza  
„wisi na krzyżu“? Czy dlatego by  
moc trafić — niby niechęć — do  
wierzących? Gotów byłbym w to  
wątpić, gdyby nie skłonność autora  
do taktycznej „czkawki...“

Jan Dobraczyński

## Z prasy francuskiej

# Sekwana płynie przez tunel

Dzienniki francuskie z pierw-  
szej połowy czerwca pozwalają  
nam odtworzyć dokładnie kulisy  
wielkiego strajku, jaki objął sze-  
reg najważniejszych dziedzin ży-  
cia. Dotychczas czytaliśmy wy-  
łącznie lakoniczne komunikaty po-  
dawane przez naszą prasę a dono-  
szące o rozprzestrzenianiu się  
akcji strajkowej, o rokowaniach  
między robotnikami, a rządem,  
wreszcie o szczęśliwym zażegna-  
niu grożącego kryzysu. Obecnie ma-  
my możliwość zapoznać się z wypo-  
wiedziami czołowych publicystów

wszystkich partii politycznych. Za-  
nim jednak przytoczymy najbar-  
dziej charakterystyczne naświetle-  
nia sytuacji pragniemy podkreślić  
oryginalny, a zarazem typowo fran-  
cuski stosunek opinii publicznej do  
wydarzeń strajkowych.

Obok niewątpliwej troski i zanie-  
pokojenia wyraźnie daje się zaob-  
serwować uczucie dziwnego dumy z  
powodu... łatwości z jaką w mo-  
mencie przerwania pracy przez ro-  
botników kolejowych wprowadzono  
zastępcze środki komunikacyjne.

Kolumny dzienników przepelnione

są opisami sławiącymi zaradność  
rządu i poszczególnych jednostek.  
Zjawisko to ilustrują też liczne fo-  
tografie zakrawające często na gro-  
teskę. Jednym słowem „Le Fran-  
cais se débrouille“. Zresztą minister  
transportu Jules Moch, w czasie  
jednego z posiedzeń gabinetowych,  
otrzymał na wniosek prezydenta  
Republiki specjalne podziękowanie  
za „szybkość z jaką zorganizował  
sieć połączeń lotniczych i samocho-  
dowych“. Kolega partyjny min. Mo-  
ch'a Robert Verdier przejęty niekła-  
manym zachwycem dla powyższych



osiągnąć dał wyraz swemu uznaniu na łamach „Populaire”. Verdier wyciągnął przy tym nieoczekiwane wnioski, a mianowicie stwierdził (właśnie dopiero w okazji strajku) daleko posunięty rozwój techniki. „Jesteśmy świadkami zupełnie nowych osiągnięć techniki. Piętnaście czy dwadzieścia lat temu byłoby kompletnie niemożliwością stworzyć błyskawicznie sieć pomocniczych połączeń i to wyłącznie powiatowych i samodzielnymi”.

Artykuł Verdiera zawiera jednak nie tylko akcenty dla nas może nieco, powiedzmy szczerze, komiczne — znajdujemy tam również bardzo wnikliwie spostrzeżenia „Ilość strajkujących jest stosunkowo nikła w porównaniu z ogólną liczbą robotników. Jednak konflikt powstał, jak gdyby przypadkowo, na odcinkach najściślej związanych z życiem narodu. Ponadto robotnicy przeciwstawili się bezpośrednio władzom państwowym a nie przedsiębiorcom prywatnym, jak to miało miejsce w roku 1936. „Przedłożone żądania przekraczają granice słusznego niezadowolonia, rozumianego zresztą przez rząd. Nie mówi się obecnie o podniesieniu płac anormalnie niskich, ale o ogólnej podwyżce” Verdier przytacza tu dwa zasadnicze zagadnienia stanowiące przedmiot walki: powiększenie t. zw. „minimum życiowego” i uregulowanie sprawy premii produkcyjnych. Okazuje się jednak, że oba te postulaty zostały załatwione pozytywnie przez radę ministrów i to dzięki staraniom ministrów socjalistycznych. „Wszystkie ustawy” pisze dalej Verdier „wprowadzone w życie aby zaspokoić słusne żądania, wydają się systematycznie lekceważone. Jakże więc w podobnych okolicznościach nie zadać pytania: czy celem kon-

fliktu jest zaspokojenie dążeń klasy robotniczej czy chęć wywarcia presji politycznej. Nie próba sił, ani próba cierpliwości czy upór, ale wola wyraźnego sformułowania zasadniczych problemów: oto na czym opiera się stanowisko rządu”.

Ostatnie słowa Verdiera nabierają znaczenia w zestawieniu z głosami prasy komunistycznej. „La Vie Ouvriere” zamieszcza artykuł Dufriche’a, który wyraźnie popiera akcję strajkową: „klasa robotnicza walczy i będzie walczyć tę kontynuować przy użyciu jaknajskuteczniejszych środków jakie sama uzna za wskazane, aby odnieść zwycięstwo. Klasa robotnicza nigdy nie przyjmie od nikogo lekcji patriotyzmu. Nikt nie przekona robotników o chęci zapewnienia im dobrobytu i wolności za pomocą aresztowań i rekwizycji. W podobnym nastroju tylko zabarwionym dodatkowo ironią, utrzymana jest wypowiedź p. Monmousseau „Słyszeliśmy, że towarzyszu Ramadier z upodobaniem gra rolę Ojca Fouettard \*). Klasa robotnicza będzie gardzić tego rodzaju ojcowskim traktowaniem wypływającym z wątpliwej dbałości, poza którą wyraźnie widać prawdziwych menedżerów prowadzonej gry”.

Najdosadniej przedstawia groźące niebezpieczeństwo Jacques Destrée (le Matin). „Wydaje się pewne, że wszystko to zmierza w kierunku sprowokowania dymisji rządu — co stać ma się za sprawą głosów spoza parlamentu. Już obecnie kilka dzienników sugeruje, że z chwilą powrotu komunistów do rządu, zni-

\*) Postać występująca w ludowych obchodach Bożego Narodzenia. Starzec, nierozłączny towarzysz św. Mikołaja, straszący różgą niegrzeczne dzieci.

knę wzburzenie wśród społeczeństwa... Czy obecność P. Croirat w Ministerstwie Pracy zadowoliliby strajkujących robotników. Toczy się rozgrywka w wysokim stopniu niebezpieczna dla kraju. Niebezpieczna również dla tych którzy biorą w niej udział, może się ona bowiem obrócić przeciw im samym. Stała możliwa jest brutalna reakcja opinii publicznej”. Znacznie bardziej optymistycznie nastrojony jest komentator „Le Figaro” L. Gabriel Robinet: „Ramadier rozgrywa trudną partię. Ale lęk przed skrajnościami stanowi jego najlepszy atut. Ramadier’a rozumie wielu ludzi, nawet ci, którzy, gdyby nie ów zbawienny lęk, nie zawaliliby się przed jeszcze większym skomplikowaniem jego zadań. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wśród przeważającej ilości Francuzów strajki paralizujące życie kraju nie cieszą się popularnością, możemy sądzić iż Ramadier, jeśli wytrzyma do momentu przełomowego — odniesie zwycięstwo. Ciężka ta operacja winna doprowadzić w atmosferze spokoju i z zachowaniem zimnej krwi do pomyślnych rezultatów.

Pomijając tło polityczne strajków, należy zwrócić uwagę na, niemniej ważne, ich przyczyny natury gospodarczej. „Syndycalizm” tak określa warunki życia przeciętnego robotnika. „Obecnie główną troską robotnika stanowi możliwość znalezienia podstawowych produktów żywnościowych w cenie przystępnej i w wystarczającej ilości... Przede wszystkim winno się nastawić produkcję i system rozdziału, aby każdy robotnik miał zapewniony, dzięki swemu wynagrodzeniu dobry towar „minimum życiowe”.

Również Charles Gerard na łamach organu młodzieży robotniczej

„Jeunesse Ouvriere” uważa problem aprowizacji za najistotniejszy „Jeden tylko problem nasuwa się obecnie: wyżywienie. Egzystencja Francji nie będzie zapewniona dopóki problem ten nie zostanie rozwiązany pod względem jakościowym, ilościowym i finansowym. Wszystkie inne zagadnienia schodzą na plan dalszy.

Komentator organu M. R. P. „L’Aube” podpisujący się M. B. wyraża następującą opinię w związku z dyskusją toczącą się na temat polityki rządu: „Rząd musi zrozumieć, że tylko dzięki szybkiej i energicznej akcji w dziedzinie zaopatrzenia i cen, zdoła on zlagodzić konflikty, których skutków wprawdzie nie można jeszcze określić, ale które rozszerzając się postawiły by masz kraj nad przepaścią.

Spróbujmy teraz zastanowić się nad wnioskami, jakie wyciągnąć należy z przytoczonych powyżej opinii. Nie ulega wątpliwości, że strajki w znacznym stopniu były owocem systematycznych manewrów politycznych. Partie, których przedstawiciele wchodzą obecnie w skład rządu, a więc MRP i SFIO uważają strajk wyłącznie za przejaw taktyki komunistów.

Ktokolwiek jednak śledził bieg życia gospodarczego we Francji począwszy od r. 1944, wie dobrze o potęgających się trudnościach: braku podstawowych artykułów żywnościowych (i powszechnej drożyznie, wynikłych często wskutek nieudolności administracyjnych. Pamiętajmy także, że przez cały czas rządów koalicyjnych, tekę ministra aprowizacji piastował zawsze bezpartyjny. Partie bowiem, nie wyłączając komunistów, nie chciały obarczać się odpowiedzialnością za uporządkowanie najważniejszej

dziedziny życia wewnętrznego, zdając sobie sprawę z niemożliwości uzyskania w krótkim przeciągu czasu jakichkolwiek pozytywnych efektów. Dziś kiedy socjaliści wspierani przez postępowych katolików ujęli ster rządów spadły na nich wszelkie rezultaty błędów zaniedbania pozostawione w spadku przez poprzednie rządy. Ramadier i jego ministrowie muszą dziś za wszelką cenę podnieść stopę życiową społeczeństwa, a w pierwszym rzędzie robotników — jest to conditio sine qua non trwałości ich wysiłków. Oczywiście wiele zależy tu również od postawy społeczeństwa. Pięknie ujmują to Jean Texcier od niedawna współpracujący z „Combat”. Niech człowiek partii „wyzbędzie się fanatyzmu, demokraci niech przestanie być demagogiem, rewolucjonista niech nie igra z rewolucją, każdy winien świadomie obarczyć się odpowiedzialnością. Niech na forum zapanuje cisza, aby dobiegł nas głos silny i prosty, ale szczerzy: głos rozsądku. Niech w kraju nie organizuje się, z lęku czy szaleństwa, guerilla niechęci i urazy”.

Tymczasem należy do nielicznych publicystów, którzy jakkolwiek nie mają powagi położenia, wyrażają głęboki optymizm. „Naród sam prowadzi dzisiaj ciężką walkę o własny byt i od jego zwycięstwa, niepewnego dotąd, zależy kres strasznych sprzeczności w imię których w mroku południa szamotają się ludzie naszych czasów”.

„Impas? Nie! Raczej rodzaj tunelu”.

„Mimo manewrów pewnych polityków możemy wykrzyknąć: „Jutro „nastąpi jasność!”

J. A. G.

Kazimierz Koźniewski

## O czwarty podział Motesqiusza

Poniższy artykuł stanowi ciekawy głos w ramach toczącej się dyskusji nad projektem reformy ustroju szkolnictwa wyższego. Redakcja zgadza się z przeprowadzoną przez autora krytyką dotychczasowych projektów ujawnionych w tej sprawie. Pozostałe tezy są indywidualną własnością naszego współpracownika. Zamieszczamy je pozostawiając czytelnikom zajęcie własnego w ich ocenie stanowiska.

Redakcja

W ciągu maja w dwóch artykułach sprecyzowane zostały podstawy projektu ustawy, która ma regulować organizację nauki i wyższego szkolnictwa, określa pojęcie samorządu szkół wyższych, stosunek uniwersytetów i instytutów naukowych do ministerstwa oświaty, strukturę organizacji życia młodzieży akademickiej i przygotowania kandydatów do teoretycznej pracy naukowej. Włodzimierz Sokorski zreferował tą sprawę w „Odrodzeniu”. Maurycy Jaroszyński w „Kuźnicy”. Ponadto w dyskusji wzięł udział Józef Chałasiński, występując w roli oponenta wobec projektu ustawy. Ukazało się jeszcze parę innych wypowiedzi, których można nie brać pod uwagę — albo są błahe, albo nie nowego nie wnoszą do sprawy.

Podstawą i najbardziej istotną cechą nowego projektu jest centralizowanie dotychczas rozproszonych samorządu uniwersyteckiego uzależnienie go od czynnika politycznego, jakim jest Minister Oświaty. Uzależnienie uniwersytetów od czynnika państwowego, czy politycznego jest tak istotne, że nie odbywa się ono wyłącznie poprzez projektowaną Radę Główną przy ministrze oświaty, ale minister oświaty ingeruje bezpośrednio w sprawy każdej uczelni przez administracyjne mianowanie przez siebie dyrektora administracyj-

no - gospodarczego, przydanego każdemu rektorowi. Ciałem rządzącym uczelniami, regulującym ich życie naukowe byłaby Rada Główna przy ministrze oświaty, składająca się w dwóch trzecich z czynnika naukowego. W jednej trzeciej z czynnika społecznego. Przejęłaby ona prerogatywy Senatów Uczelnianych, z tą jedynie zasadniczą różnicą, że jej członkowie byłiby nie wybierani przez Senaty, systemem oddolnym, lecz mianowani przez władze Rzeczypospolitej.

W założeniach i stwierdzeniach poprzedzających sformułowanie projektu ustawy — autorzy jego parokrotnie stwierdzili, że wolność nauki i badań naukowych nie oznacza wcale wolności głoszenia każdej teorii naukowej, gdyż niektóre z nich są lub mogą być anty-naukowe. Jak rozumieć owe określenie „anty-naukowe” na dobrą sprawę niewiadomo, gdyż zaraz na początku publicznej dyskusji między dwoma przedstawicielami „lewicy” wynika między nimi zasadnicza różnica na temat „antropologicznej teorii społeczeństwa”. Poseł Jędrzychowski stwierdził, iż jest to anty-naukowa teoria, a więc nie może być referowana na uniwersytetach. Podczas gdy prof. Chałasiński ma odmiennie zdanie, przypomniał jej dzieje, przypomniał, iż wykladał ją niebyle jaki marksista, gdyż prof. L. Krzywicki. Nam się wydaje, iż jeśli teoria ta jest rzeczywiście błędna, to przecież kiedyś musiało nastąpić stwierdzenie tego błędu, a nastąpić mogło tylko w wypadku konfrontacji teorii już to z praktyką, już to z innymi teoriami. Ażby nastąpić mogła taka konfrontacja — teoria musiała pierw zostać ujawniona i ogłoszona. Nieskrępowane ujawnienie, głoszenie i konfrontowanie każdej teorii z innymi i z życiem jest warunkiem sprawdzenia po równi jej fałszywości, jak jej prawdziwości.

Nikt a priori nie jest i nie będzie nigdy w stanie ocenić słuszności nowych teorii tylko mocą zamkniętego werdyktu ludzi odmiennych przekonań. A zetknięcie się właśnie z opinią ludzi odmiennych przekonań jest nieuchronnym losem każdej nowej myśli. Mam wrażeniem, bał w tym wypadku mam nawet pewność, że marksizm był w swym pierwotnym stadium też uznawany za teorię anty-naukową i dla ówczesnie obowiązujących reguł myślenia wręcz obraźliwą. A na marksizmie świat nie stanął i nie stanie. Pojawi się z czasem jakiś neo-marksizm, super-marksizm lub anty-marksizm, który zgodnie z psychiką ludzi i społeczeństw spotka się początkowo z negatywną oceną marksistów; osadzą go oni jako pogląd anty-naukowy, a który — tak jak jego wielki poprzednik marksizm — może z czasem okazać się właśnie właściwym i prawdziwym dla danej fazy rozwojowej ziemi naszej. Czyż przykłady z historii nauki nie są tutaj konieczne? Czy ta sama historia nie powtarza się w każdym pokoleniu naukowców? Czyż mąż stanu, który swym werdyktem z góry przesądzi naukowość, czy anty-naukowość jakiejś teorii, który swym rygiem administracyjnym skazuje ją na nielegalność, (a więc społecznie i państwowo dopiero naprawdę szkodliwą) plenienie się — czyż taki mąż stanu nie znajdzie się na końcu ostrych piór szyderców i krytyków, z ostatniej strony jakiejś późniejszej, super-marksistowskiej „Kuźnicy”?

Rozumiem i trafiają mi do przekonania te wszelkie argumenty przytaczane przez panów Sokorskiego i Jaroszyńskiego, które pełne są troski o unowocześnienie życia naukowego naszych uczelni, życia, które ma być bardzo zacofane w stosunku do prądów obowiązujących już w reszcie

świata. Rozumiem, że w istocie na terenie jednego, każdego oddzielnego uniwersytetu może się wytworzyć pewnego rodzaju ghetto umysłowe, pewna klika naukowa. Dlatego też przesunięcie punktu ciężkości autonomii uniwersyteckiej na autonomię nauki, jako całości, rozumiem i pochwalam, gdyż wyobrażam sobie, że współpraca i możliwość wzajemnej ingerencji uczonych z różnych środowisk może być naukowo twórcza i płodna. Doceniam w pełni korzyści reformy, która polegać ma na prawie odwołania się habilitanta od decyzji Senatu jednej uczelni do grona uczonych całego kraju. Przestrzec należy oczywiście przed likwidowaniem senatów akademickich, gdyż podstawą demokratycznego społeczeństwa są właśnie małe samorządy lokalne, pierwsza i elementarna szkoła i forma życia społecznego — również politycznego, gospodarczego co naukowego. Sprawa jednak staje się groźną, gdy dowiadujemy się, że do owej Rady Głównej wchodzić mają prócz czynników naukowych — nieokreślone czynniki społeczne. Co to znaczy czynnik społeczny? Czy będą to kupcy, czy robotnicy, księża, czy szefowie partii? Co to jest czynnik społeczny? W każdym razie, jeśli wymienia się go oddzielnie od naukowego — znaczy to, iż ma być to czynnik pozanaukowy? A więc dyletancki w danej dziedzinie. Ma to równy sens, co powołanie profesora chemii na uniwersytecie na odprawę dowódców plutonów wojskowych, czy literata na zawodowe posiedzenie krawców, czy posiedzenie komitetu statystycznego w CUP-ie naprzykład.

Lecz zdecydowanie niebezpieczną jest sprawa, gdy według projektu ustawy teren uniwersytecki ma zostać wyłączony z demokratycznego ustroju całego społeczeństwa, gdyż rządząca nim Rada Główna ma po-

chodzić z mianowania, a nie z wyboru. Sejm pochodzi z wyboru a nie z mianowania. Rady zakładowe i zarządy związków zawodowych pochodzą z wyboru. Czyżby państwo miało mniejsze zaufanie do profesorów niżli do wszystkich innych ludzi w kraju?

Rozumiem troskę o rektora, by zdjąć mu z ramion brzemię obowiązków administracyjno-gospodarczych, ale dlaczego minister oświaty nie ufa człowiekowi mianowanemu przez Prezydenta Rzeczypospolitej na wniosek tegoż ministra oświaty spośród trzech kandydatów przedstawionych Radzie Głównej przez Senat Akademicki, iż potrafi on sam dobrać sobie zdolnego i odpowiedzialnego administratora?

Postulat związania nauki z państwem, a więc z właściwą każdorazowemu reżimowi ideologią jest w projekcie ustawy jasno postawiony i konsekwentnie przeprowadzony.

I właśnie przeciw temu przymusowemu związaniu nauki z jakąkolwiek ideologią polityczną, wypada nam kategorycznie zaprotestować.

Młodzi ludzie wychodzą z takich szkół i uniwersytetów z skrępowanym i zniekształconym kręgosłupem umysłowym i światłotwórczym z skrępowanym i zniekształconym kręgosłupem umysłowym i światłotwórczym i zamiast mieć głowę szeroko otwartą, zdolną chłonąć, ocenian i klasyfikować wszystko po równi obiektywnie — mają gotowe, narzucone a priori formułki schematycznych sądów, które przystawiają do wszystkich i wszystkich. Historia i t. zw. nauki o świecie współczesnym ucza — we wszystkich bodaj krajach Europy i świata, w ustrojach zarówno najbardziej postępowych, jak i najbardziej reakcyjnych — szpaczonego oglądania spraw tej ziemi wyłącz-



## W kraju...

## EXPOSE PREMIERA

W dniu 19 b.m. przed rozpoczęciem debaty budżetowej, Premier Cyrankiewicz zdał sprawę z dotychczasowych osiągnięć Rządu oraz z zamierzeń na najbliższą przyszłość. Stwierdziwszy cały szereg poważnych sukcesów na terenie polityki zagranicznej, Prezes Rady Min. z dużym optymizmem scharakteryzował stosunki wewnętrzne kraju. O ile polityka zagraniczna Rządu nie budzi w nas żadnych zasadniczych zastrzeżeń, o tyle nie podzielimy optymizmu P. Premiera odnośnie polityki wewnętrznej.

W dyskusji nad exposé dał temu wyraz poseł Bienkowski, poddając krytyce sytuację na odcinku bezpieczeństwa, oświaty i opieki społecznej. Zdanie p. Premiera, że „polityka gospodarcza Rządu nie jest skierowana przeciw inicjatywie prywatnej”, są dla nas mało zaadwalaające. Chcielibyśmy usłyszeć jakieś bardziej zobowiązujące oświadczenie a nade wszystko ujrzeć odzwierciedlenie teorii w praktyce.

## ECHA MOWY POS. WITOLDA BIENKOWSKIEGO.

POSEL Witold Bienkowski (Kat. Sp.) zabrał głos już w pierwszym dniu debaty sejmowej nad exposé i preliminarzem. W jednym z najbliższych numerów zamierzamy zająć się obszerniej, tym wystąpieniem, dziś, ograniczymy się do odnotowania wypowiedzi posłów Bloku, o stosunku Państwa do Kościoła. A więc poseł Hochfeld (PPS) „Niestety przeciwnikami Konkordatu, natomiast jeśli chodzi o zrobienie z oświaty monopolu Kościoła, to jest to rzecz, na którą przy całej naszej tolerancji jako socjaliści zgodzić się nie moglibyśmy. — Poseł Strzałkowski (SD) „Dziecko, katolickie w Polsce uczy się religii, ma swobodę praktyk religijnych, mimo (?) że większość opinii polskiej stoi na stanowisku szkoły wyznaniowej. — Mówca zgłasza wniosek o dodatkowe podniesienie budżetu Min. Oświaty, o symboliczną złotówkę jako wyraz zaufania stronnictw bloku wobec Min. Skrzyszewskiego.

Jak widzimy pos. Hochfeld jest przynajmniej szczerzy. Posła Strzałkowskiego natomiast stać tylko na efektowne analogie.

My tymczasem chcielibyśmy szerzej dyskusji. Pomawianie Kościoła o zakusy monopolistyczne to retoryczny unik. Czekamy wciąż na odpowiedź, w jakiej mierze będzie zagwarantowany dla katolicyzmu współdziałanie w wychowaniu obywateli Polski Katolickiej.

## KOMUNIKAT

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” zawiadamia, że na ogłoszenie przez nią konkursu na powieść dla młodzieży wpłynęło 118 prac, z czego 28 nie zachowało warunków konkursu, a 90 pozostaje do rozpatrzenia przez jury.

Z uwagi na dużą ilość materiału, a także rozpoczynający się okres urlopowy, rozstrzygnięcie konkursu nastąpi najwcześniej we wrześniu n.s.

nie przez przyznanie spraw własnego kraju i przez przyznanie wyłącznie jego interesu.

Nauka została skazana na fałszerstwo i stronnictwo, gdy została związana z państwem. Oczywiście — nie ludźmi się, by mogła ona być, lub by kiedykolwiek była (choć by nawet jej to i zarzucali) oderwaną od współczesnych prądów i społecznych przyzwyczaj. Nauka działa przez ludzi na ludzi. Przez ludzi i na ludzi, którzy poza murami szkół i uniwersytetów podlegają presji najprzeróżniejszych sił, którzy w tych samych murach doznają konfrontacji przeróżnych poglądów i mają wolny wybór i relatywną najczęściej wolność ich głoszenia. Najbardziej choćby odcięty od nurtu współczesnego życia uniwersytet jest jednak w gruncie rzeczy emanacją tego życia i zwycięskie na świecie prądy zwyciężają i na uniwersytetach, oczywiście przy zachowaniu pewnej korektury naukowej i pewnego upływu czasu, który powoduje niektórych do formułowania zarzutów reakcyjności i opóźnienia, ale jest równocześnie gwarancją istotnej wartości tych systemów. Wartości, gdyż ostały się one próbie — w istocie jakże niedługiej — czasu.

Idealnie obiektywnego uniwersytetu nie będzie na świecie nigdy. Ale tak, jak inżynier preliniuje pewien procent surowca z góry na rdzewienie, jak urzędy skarbowe i mennice państwowe ufajac w zasadzie swym urzędnikom wprowadzają jednak pewien ścisły system kontroli przed ew. kradzieżą — tak wydaje się, że znając ułomność politycznej natury człowieka, która ma tendencję do omni-

potencji — należy z góry w sposób możliwie najpełniejszy zabezpieczyć jednak obiektywizm nauki przed natręctwem pragnących tu ingerować polityków. I wydaje mi się, iż jedynym sposobem na zabezpieczenie nauki przed takimi przykreimi interwencjami, jedynym sposobem na doprowadzenie do pełnego zrealizowania przytoczonego postulatu profesora Chałasińskiego, jest nie co innego, je- no jak najstaranniejsze oddzielenie szkolnictwa i nauki od administracji

państwowej. Do montesquiszowskiego trójpodziału władzy państwowej, po dziś dzień będącego ideałem demokracji, należy chyba wprowadzić jeszcze czwartą autonomijną władzę państwową, niezależną od wykonawczej, ustawodawczej, — oświatę i naukę.

Projekt ten dziś jest utopijnym i marzycielskim. Doskonale sobie zdaję z tego sprawę. Ważne jest zresztą nie jego paradoksalne nieco sformułowanie, ale linią kierunkowa, ten

K. WINKLER-AUGUSTOWSKI

## MARSZ SŁOWIAŃSKI

Na masz jak wielki sztandar  
wzniesiemy nasze cele,  
by oddychały wiatrem  
środkowej Europy,  
w pogoni za wielkością,  
zrównani w jeden szereg  
na naszej starej ziemi,  
nasiąkłej krwią i potem.

Więc dołącz do szeregu  
słowiański nasz kolego,  
by jeszcze jeden bagniet,  
wrogowi błysnął w twarz,  
dopiero wtedy przyznasz,  
że jedna jest Ojczyzna,  
gdy milion nóg rozpocznie  
niepowstrzymany marsz.

I marsz jak pieśń uderzy  
pod niebo z wielkim słońcem,  
co wzejdzie z horyzontu  
by już do końca świecić,  
a serca będą grały  
tak młode i gorące,  
gdy wreszcie osiągniemy  
mórz naszych złote brzegi.

Więc dołącz do szeregu  
słowiański nasz kolego,  
by jeszcze jeden bagniet  
wrogowi błysnął w twarz  
dopiero wtedy przyznasz,  
że jedna jest Ojczyzna,  
gdy milion nóg rozpocznie  
niepowstrzymany marsz.

Spojrzymy sobie w oczy,  
choćbyśmy byli zdala,  
podajmy sobie ręce,  
nie znając naszych imion,  
bo czujesz chyba, bracie,  
co w tobie się zapala  
gdy słyszysz jak w Historie  
szeregi nasze idą.

Więc dołącz do szeregu  
słowiański nasz kolego,  
by jeszcze jeden bagniet  
wrogowi błysnął w twarz  
dopiero wtedy przyznasz,  
że jedna jest Ojczyzna,  
gdy milion nóg rozpocznie  
niepowstrzymany marsz.

Warszawa, 1942.

dencja, jaką zdaniem naszym winny mieć czynniki państwowe wobec oświaty.

Po raz pierwszy stanąłem na takim stanowisku — jak najdalej izolacji oświaty i nauki od władzy państwowej, administracyjnej i politycznej, w artykułach napisanych jesienią 1943 roku, po moim nielegalnym przybyciu z zagranicy do kraju. Artykułiki te przedłożyłem całemu szeregowi redakcji, reprezentujących ośrodki od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy. Nigdzie nie ukazały się, nie znalazły uznania w oczach ludzi, z których każdy obiejmował w przyszłej Polsce i że on właśnie będzie kształtował wychowanie przyszłych pokoleń. Oczywiście żaden z tych redaktorów nie wątpił ani przez chwilę, iż tylko przez niego wyznawane poglądy są słuszne i mają moralne prawo do wychowania przyszłych pokoleń. Ja natomiast wątpiłem we wszystkie po trochu.

Dziś też wiem, że nie znajdzie uznania u żadnego z kierunków ideowych czy politycznych, i to zarówno tych, będących u władzy, jak i tych, będących w opozycji, legalnej, czy nielegalnej. Wszystkie one są bowiem święcie przekonane, że mają rację... Ale pewnie znajdzie się nienajmniejsza grupa ludzi, rzec by należało - indywidualów, którzy wprowadzą wżruszą ramionami i szepną „marzyciel”, ale równocześnie uśmiechną się sympatycznie i westchną żałośnie.

Bo mocno wierzę, że jednak nie tylko sam tak sądzę, jak sądzę!

Kazimierz Kozniewski

## NA WIDOWNI

Tym razem na wstępie kilka słów pro domo sua... Nie jest to tylko moje zdanie, ale wielkiego grona moich towarzyszy broni, przyjaciół i kolegów. Usłyszałem je, gdy po powrocie z zagranicy rozglądałem się, szukałem środowiska w którym bym mógł pracować najpozytywniej.

Ze wszystkich naszych czasopism w kraju „Dziś i Jutro”, wyróżnia się tym, że kulturuje tradycje żołnierskie i otacza głęboką czcią, miłością i podziwem wszystkich towarzyszy broni, którzy w ciężkich latach okupacji oddali swoje życie w walce o wolność.

Niewiele jest u nas pism, któreby były atakowane bardziej gwałtownie, jak nasze pismo. W jednym z ostatnich numerów „Odrodzenia” pan B., w felietonie „Apologia lumpenproletariatu” pozwolił sobie nie mniej nie więcej na taki passus, odnoszący się bezsprzecznie do naszego pisma. „Możnaby już porzucić tani sentymentalizm, przestać biadolić nad zabitymi dziećmi, rozstrzelanymi poetami, a o powstaniu powiedzieć coś więcej nad tuzinkowe opowiadki z kanałów i barykad. Oprócz wspomnień p. Dobraczyńskiego i Hanecki Piekarskiej istnieją jeszcze pamiętniki niejakiego gen. Bora, który opowiada przeosobliwe rzeczy o genezie powstania warszawskiego, nie jestem tylko pewien czy miłe dla mocodawców Zespołu Literatów i Dziennikarzy, składających w wypalone wnętrzości „Warszawy ziarno bardzo dziwnej rośliny”.

Owe wspomnienia p. Dobraczyńskiego, zamieszczone w „Kalendarzu Warszawskim”, które tak drażnią p. B., były uprzednio drukowane właśnie w „Odrodzeniu”.

Co zaś do istnienia pamiętników „niejakiego gen. Bora”, — to jeśli rzeczywiście zawierają jakieś „przeosobliwe rzeczy” o genezie powstania warszawskiego, to należałoby je jak najszybciej opublikować.

W roku 1946 jeden z bogatych magazynów, bodaj amerykańskich, zamieścił rzekomo telegraficzny skrót pamiętników Bora.

Istnieją polskie tłumaczenia tego skrótu, pt. „Niesmiertelni”, wydrukowane w odcinku pisma „Żołnierz Pierwszej Dywizji Pancerniej” w Niemczech, na terenie okupacji brytyjskiej.

Nie mają żadnej wartości historycznej, zawierają wiele nieścisłości, rażących błędów i niezgodnych z rzeczywistością faktów. To też historycy i publicyści na emigracji nie korzystają z nich. Wystarczy wspomnieć, że nie ukazała się z nich dotąd recenzja, czy jakieś choćby omówienie.

Czy należałoby przestać pisać i biadolić „nad zabitymi dziećmi i rozstrzelanymi poetami”?

Nam wystarczy choćby tylko ów list, jeden z bardzo wielu, które otrzymuje redakcja. Przytaczamy go w urwku:

„Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem Pański „Przemarsz przez piekło” z nr. 19-ty (76) z dnia 11 bm.

Zainteresowanie moje ma źródło także i w tym fakcie, że do końca powstania byłem wraz z żoną zamknięty w kompleksie walących się kamień, przy Mokołowskiej 49, podczas gdy dwoje moich dzieci: Barbara Niklewska, ur. 27.6.1923 roku w Mysłowicach na Górnym Śląsku i Zdzisław Niklewski, ur. 5.2.1926 roku, brato udział w powstaniu warszawskim.

O Zdzichu od pierwszego dnia powstania nie mamy dotąd żadnej wiadomości. O Basi natomiast dowiedzieliśmy się od znajomych co następuje. Była łączniczką i miała rzekomo pseudonim: Zosia. Była na Starym Mieście i stamtąd wyprowadziła grupę, składającą się z około 50 młodzieży do Śródmieścia, lecz według wersji, która dotarła do naszej wiadomości, nie kanałami, lecz górą, przyczym z tej grupy, po przejściu ocalało zaledwie kilkunastu. Basia krótko po powrocie odwiedziła znajomych przy ul. Złotej, którzy doradzali jej pozostanie u nich. Oświadczyła jednak, że musi dalej pełnić służbę. To też poszła jeszcze w pierwszych dniach września na Czerniaków.

Czytając Pański interesujący fragment, w szczególności wstęp „Grupa około 40 osób wchodzi do kanału przy zbiegu Długiej i Miodowej przy pierwszej grupie jest łączniczka Basia”...

Zapytuje, czy nie była czasami moja córka Basia tą łączniczką. W fragmencie tym bowiem Pan już o łączniczkę Basi nie więcej nie wspomina. Nie wiadomo co się z nią stało?...

Mam mocną nadzieję, że może od Pana będę mógł się o losie mojej córki dowiedzieć coś konkretnego. Dlatego pozwalam sobie dołączyć jej fotografię z serdeczną prośbą o jej zwrot, gdyż tylko ten jeden egzemplarz posiadamy.

Boje się, że Pana zrażę tą prośbą o moją Basię i Staweczka a nie mam odwagi nie prosić Pana o to. Poczytuje za swój obowiązek, żeby dotrzeć do każdego źródła, które mi daje choć promyk nadziei, że będę się mógł dowiedzieć choćby jakiś drobniaczek o moich dzieciach. Niech mi Pan więc wybaczy moją natarczywość i raczmy mi łaskawie dać choć krótką wiadomość i daj Boże, oby pomyślną.

Przesyłam wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

dr. Roman Niklewski.

Jest to jedna z wielotysięcznych tragedii rodzin polskich. I choćby tylko dla tego samego, aby przyniesić stroskanym rodzicom wiadomość o ich dzieciach, padłych w walce o wolność, trzeba pisać. A przecież jest wiele, bardzo wiele innych powodów, aby pisać...

Dlatego należałoby przestać „biadolić nad zabitymi dziećmi” w czasie okupacji i w powstaniu warszawskim, jak tego domaga się pan B., a pisać wyłącznie o gehennie w getcie, czy obozach koncentracyjnych, jak on to sam niedawno uczynił.

Gdzieś logika?

Wydaje mi się, że pan B. nie wie o tych nieszczęśliwych i napótbłakanych matkach, którym ludzie rozszpali mogiły ich dzieci i najspokojniej posadzili na nich kartofle a potem, sprzeciwiali się ekshumacji ciał.

Zapewne nie wie, o tych nieszczęśliwych rodzicach, którzy w powstaniu stracili wszystkie swoje dzieci, żony swoich mężów, dzieci rodziców i dotąd w rodzinnym mieście nie mogą znaleźć ich szczątków.

Od wielu tygodni i miesięcy chodzą codzień wśród tego cmentarzyska ruin staromiejskiej dzielnicy, czy zamartwego rumowiska stołecznego ghetta, w miejscu gdzie ciągnęły się najbardziej żywe i ludne ulice Franciszkańska, Bonifraterska, Sapieżyńska, Zakroczymska, a jeśli uda się im wydrzeć gruzem jakieś szczątki własnymi rękami matki i żony szukają niezatartych śladów swoich dzieci i mężów, wśród kości, szkieletów, popiołów, resztek zezłatego ubrania i bielizny i oporządzenia żołnierskiego.

Przypomina mi się niedawny apel Jana Parandowskiego do wszystkich pisarzy świata o stworzenie Muzeum bobby i zbrodni w stolicy każdego kraju, które przeżyły upiorną okupację niemiecką.

„Byłoby niewybaczalnym błędem, grechem naszego pokolenia, gdyby nie uczyniło ono wszystkiego, aby przekazać potomności dokładnie i wyczerpująco materiały do poznania krwawego obłędu Niemców i ich niszczycielskiej roboty. Nie na to posiadamy umiejętność i środki konserwacji zabytków oraz dokumentów historycznych, aby pozostawiono fakty tak potworne na łaskę niedomówień i ogólników, które z biegiem czasu same wymazałyby się z pamięci. Mamy obowiązek wobec milionów ofiar i wobec ludzkości.

Jeśli ludzkość ma znaleźć drogę do wyższej kultury moralnej, nie może się przez fałszy i ową drwiącą krytykę, która korzysta z braku źródeł, by wybielić czarne karty historii”.



Nik Rostworowski

## FOSTER PARENTS

## EMIGRACJA WEWNĘTRZNA

„...prosiłabym o białe sukienkę i białom wstążkę i skarpetki i, pantofle bo idę do komunii i czy bym mogła pszjechać na wakacje na dwa miesiące, bo mje się tak pszykszy, bo jeszcze nigdy nie byłam, ja tylko pragnę, czy powiesz, czy mogę tam pszjechać, jak ja okropnie proszę cię kochająca Mamusi tereska”.

Tereska ma 9 lat i nawet ten, który ukuł termin o „emigracji wewnętrznej”, usmiechnąłby się, nie dojrzały w owym pracowitym elaboracie tendencji groźnych dla ustroju. Zresztą Tereska nie chce emigrować na zawsze, pisze przecież wyraźnie o dwu miesiącach wakacji. Mała mieszka w zburzonym Czerniakowie, chodzi do Ogródka Jordanowskiego na Sadybie i koresponduje z przybraną Mamusią z Ameryki. Prawdo podobnie posiada rodziców bo czeropokojowy domek fiński w Ogródku na Czerniakowie nie jest interesem ani sierocińcem i nie zmieszciliby się w nim 155 łózek. Stąd wniosek, że 155 dzieci nocuje w domu. Ale Teresce się... „pszykszy”. Kiedy czytam apel zredagowany stylem telegraficznym przez jej starszego kolegę Stasia Matuszewskiego z Żoliborza, wydaje mi się, że rozumiem Tereskę. „Kochany krzesny tatuś. Jesteśmy krytycznych warunkach nie mam tatuś umar 1939 r. i mamusia straciła nogie w powstanie nie ma protezy, ani kul, żeby mogła pracować tak, że żyjemy strasznych warunkach, babcia jest chora, dziadek jest staruszek, dwóch wójków zabrali niemcy i rozstrzelili publicznie...”

Z każdym listem, który biorę do ręki lektura staje się coraz bardziej pasjonująca. „Ten to jeszcze nie, niech Pan zobaczy ten” — mówi p. Zosia Lipska. Właściwie od niej wy padałoby zacząć, bo to ona jest o wym opiekunich cicerone, który mnie wiedzie po zawitych ścieżkach niepełnoletnich zwierzeń. P. Zosia jednak upiera się, że najpierw musi o Cioci Ednie. „Zapominasz o Eryku” — strofuje ją p. Andrzej Żółkowski, dyrektor „Foster Parents” na Polskę. Więc chociaż Cio-cia Edna, od której wszystko zależy przyjeżdża do Warszawy 26 czerwca, myślę, że rzeczywiście proste poczucie przyzwyczajenia kronikarskiej nakazuje zacząć od Eryka. Przykłąsna mi napewno i Siostra Bronisława i Ojciec Zdzisław i czcigodny organizator wieczoru „Hamisza-asarbiszwat” z Wrocławia. Bo gdyby nie Eryk...

## LUDZIE NA E.

Mr. Eric G. Muggeridge do roku 1937 organizował wczasy dla robotników angielskich. Był specem w tej dziedzinie więc jeśli by druga wojna światowa wybuchła o dwa lata wcześniej mr. Muggeridge organizowałby prawdopodobnie wczasy w dalszym ciągu, — tą różnicą, że dla urlopowanych żołnierzy J. K. M.

Ale wtedy jeszcze na całym świecie był pokój i tylko w Hiszpanii eksplozje bomb wtórowały łkanu dzieci, pozbawionych dachu i matek. W Wielkiej Brytanii zawiązuje się komitet dla ratowania sierot wojennych w Hiszpanii. Na czele organizacji staje p. Muggeridge. Jemu i jego koleżance udaje się wyprowadzić 400 dzieci do Francji. Dziecięcy Mojżesz wyraźnie zasmakował w nowej roli. Kiedy w 39 roku Anglia przystępuje do wojny, próbuje on z powodzeniem zainteresować swoją akcją społeczeństwo amerykańskie i centrala „Foster Parents Plan For War Children” zostaje przeniesiona do New Yorku.

Palcękę sztafety dziecięcej przejął teraz p. Edna Blue. Patrząc na jej fotografię. Na usmiechniętą twarz wątej pani i na zbyt szerokie

rondo modnego kapelusza. Cio-cia Edna. 48.000 dzieci wszystkich narodów, religii i ras wymawia jej imię przydając mu 48.000 znaczeń. „Cio-cia Edna jest dobra” — odpowiedzą zgodnie, zagadnięci: Wiesiek z Czerniakowa, Ines z Bilbao i Ti-Wi-Lin z Czong-Kingu.

Brnę w gąszczu cyfr i sprawozdań, przekonując się, że Cio-cia Edna jest także świetnym pedagogiem i genialnym organizatorem.

## NICZYJE

Opieka „Przybranych rodziców” nie polega jedynie na regularnych zasiłkach miesięcznych w wys. 7 dolarów na dziecko przy rodzinie i 4 dolarów na dziecko przy rodzinie i 4 dolarów na dziecko w zakładzie. Uderza nacisk „jaki się kładzie na indywidualne zainteresowanie sprawami każdego z podopiecznych. Malcy piszą co miesiąc listy do przybranych Tatusiów i Mamusi, energicznie domagając się odpowiedzi. „Chrzestni Rodzice nie pozostają im zresztą dłużni pod tym względem. Nierzadko zdarzają się jednak dzieci chwilowo bez przydziału. Otrzymują pieniądze z funduszu ogólnego, lecz paczki indywidualne, ani listy nie nadchodzą. Jest zasada, że dzieciom się o tym nie mówi. Malcy piszą w przestrzeń. Niby o tym nie wiedzą, ale podświadomie coś ich mierz. Wreszcie utęskniony list z za oceanu przyszedł i wtedy... „jestem zdrowa i wesoła i za list b. dziękuję, no chociaż on pisany do chłopca, ale zaadresowany do mnie, a ja jestem dziewczynką, to Tatusi i Mamusia będą moimi chrzestnymi i b. się z tego cieszę...”. — Bywa i tak. — Za wszelką cenę nie być niczym! Choćby uciekając się do podstępów. Staje mi przed oczyma Pasza — 16-letni gwardieje. Poznał się na przyzółku pod Warką. Godzinami potrafił snuć opowieść o domu nad Irtyszem i wyjątkowo godnych miłości rodzicach.

Ten ciągły nawrót motywu domu rodzinnego, powtarzany w najróżniejszych wariacjach zastanawiał. Aż jednego dnia (byliśmy już przyjaciółmi) Paweł zrumieniony jak wiśnia, ze łzami w oczach wyznał, że był „bezprizorny” i wychowywał się w przyjuce. Foster Parents istnieje po to żeby nie było dzieci niczych. O tych 48 tysięcy zmniejszała się ich liczba jak dotąd: na Malcie, na wyspach Kanała La Manche, we Francji, Belgii, Holandii, Czechosłowacji i Polsce. Potem przyszła kolej na Chiny i Grecję.

27 października 46 roku przybył do Warszawy legendarny już dziś Eryk Muggeridge. W listopadzie, tegoż roku wypłacono dzieciom pierwsze zapomogi. Dyrektorem Oddziału Polskiego został p. Andrzej Żółkowski, sekretarzem — p. Zofia Lipska. Prócz nich są jeszcze woźny i szofer. Tyle.

Eryk pojechał dalej. Do Chin.

## „JÓZEFINKA” — COLONY

Warszawa, Karpacz, Polanica, Wrocław, Kielce, Otwock i Powsin. Siedem miejscowości, a w nich 417 dzieci objętych pomocą. Niewierny Tomasz powątpiewam, czy to możliwe, żeby p. Zosia znała wszystkie 417. I gdyby nie Siostra Bronisława, wątpliwny nadal. Przyjechała z Polanicy, gdzie S. S. Urszulanki opiekują się bezdomnymi dziewczynkami repatriowanymi z Rzeszy. Polanicę znam. T. zn. nie Polanicę a „Józefinkę”, bo tak się nazywa dom dziecka. W „Józefince” mieszka Wanda Liszka, która: „Kochana Cio-cia Era, ja bardzo lubię pić gracie ale nie mam, bym chętnie chciała”.

Pilka nadeszła i była straszna radość i wszystkie listy są tylko o tej pilce i o nowej mateczce, że „jest dobra, bo za dobre wynagradza, a za złe karze”.

Siostra Bronisława ledwo może nadążyć z odpowiedziami na pytania p. Zosi, które syją się jak grad. Po chwili jestem całkowicie wyprany z poprzedniego sceptycyzmu i będę świadczył przed każdym trybunałem, że to właśnie Magdzia zmierzniała, podczas kiedy Jutka (ponieważ leżakuje po obiedzie) bardzo się poprawiła i gdyby nie Krysia Piątkowska i Basia Beška... Dość. A Siostra Bronisława jest aniołem, który zupełnym przypadkiem spłynął na ziemię i teraz skrzydłami uroku rozgarnia trudności, godzące w dobro jej piskląt.

## INSTYKNT RACJI STANU?

Skąd te brzdące wiedzą o amerykańskim kulcie radości życia, krzepy i powodzenia? — „Usmielam się zapytać czy Tatusi jest zdrowy i czy mu się dobrze powodzi”. „...jestem jeszcze zdrowa i wesoła”. „Kochany chrzestny Tatusiu! Pierwsze moje słowa są, że jestem wesoła i zdrowa”. Co znaczy ten nieustanny refren? I co znaczy to „jeszcze?” — Nie wiele tu wyjaśnia uroczy list mrs. Jane D. Betz do Anielki. „Mamy szczerą nadzieję, że Twoje zdrowie się poprawia i że wyrośniesz na piękną, dużą pannę i zapomnisz o wszystkich swoich smutnych przeżyciach w przeszłości”.

Przeczytałem kilkadziesiąt listów. W każdym identyczne gorączkowe zapewnienie. Pomagajcie, warto oplać się. Nie, że pięcioro nas na jednym sienniku w wilgotnej suterynie zburzonego domu. Że Mamusia wywieziona na roboty do Niemiec nie wróciła, a krew Tatusia obryzgała ścianę kamienicy na rogu Alei i Marszałkowskiej. Sza. To nie należy do rzeczy. Skopany i okaleczony zasługuje tylko na kopnięcie. Więc dzieci polskie się nie skarżą. A przecież trudno uwierzyć żeby 416 malców rozumowało kategoriami. Osmaczka. Czy wobec tego nie mamy do czynienia z nowym dotąd nieznanym fenomenem psychologicznym? Czy istnieje instykt racji stanu?

## KOGUCIE ODSTEPSTWO

Napisałem 416. Bo jest jeden list z Karpacza, który się wyłamał z pod tej samorzutnej reguły — i dlatego przede wszystkim budzi wesołość. U bliźnich bawia wszelkie odchylenia od normy. Bodaj, że Witwicki dowodził, że w gruncie rzeczy śmiejemy się z cudzego nieszczęścia.

„...Bardzo mnie życie pokrzywdziło, albowiem mój Tatusi był artystą malarzem i miał krzywe stopy. Moją Mamusia była bardzo ładna wobec tego zostawiła go i poszła z innym panem. Jestem bardzo biedny i nieszczęśliwy.”

Jan Kogut — syn malarza. MODRO

Ale to tylko tak, nawiasem. W zasadzie nie jesteśmy gorsi od Was. „Mamusia mi pisała, że Ania lubi rysować, pływać i grać na fortepianie. Ja też lubię pływać i rysować ale na fortepianie nie umiem grać. U nas w Domu jest fortepian tylko teraz Mateczka zamknęła bo wszystkie dziewczynki grały na fortepianie, a fortepian się psuje”.

Rysunki są w każdym liście. Bardzo kolorowe i bardzo nieporadne. Tylko jeden: „Mamusia w liście zapytuje się jakie ja mam oczy, ja mam niebieskie... — Modre, dziewczynskie spojrzenie, znane aż za dobrze. Ale już mi się wszystko mazi więc pytam p. Zosi Lipskiej, która z nich tak właśnie patrzy. Maryś? A może Urszulka Wieczorek? Bo chyba nie dziesięcioletnia Hania Nowakowa z Ogródka Jordanowskiego, której taniec wymaga osobnego poematu, więc reporter musi wziąć wodę w usta.

## WIESIEK I JAŚMIN

W Ogródku Jordanowskim na Czerniakowie - Sadybie byłem kie-

dy nadeszło 46 skrzyń z darami wartości ca 6,5 miliona zł. „200 dalszych skrzyń płynie” — promienieje p. Żółkowski — polski Muggeridge. Z 155 dzieci Czerniakowa, uczęszczających do Ogródka tylko znikoma część korzysta z pomocy Foster Parents. Ale pan Andrzej uznał, że paczki muszą dostać wszystkie. „Bo przecież nasze dzieci oprócz regularnego zasiłku pieniężnego otrzymują stale dary imienne, więc tym innym mogłoby być przykro” — tłumaczy się.

Kiedy przychodzimy, dzieci posegregowane według wieku i płci siedzą już przy stolikach równiutki ustawionych. Z okazji uroczystości rozdawnictwa dostaną placek i kawę. Mijamy chłopców, którzy na nasz widok kuksają się i raz po raz wybuchają śmiechem. Z przyjemnością stwierdzam, że nie ma tu nie atmosfery przymusu i wdzięczności na rozkaz. Najędźniejsi z nędźnych nie sprzedają godności własnej za miskę soczewicy. Za to umieją się cieszyć szczerze i reagują bez pudła na każde minimum okazanego im serca. Dziewczynki — element pod każdą szerokością geograficzną mniej niesforny, śpiewają grzeczne piosenki i deklamują slogany powitalne. P. Zosia i p. Andrzej nie darmo są tu stałymi gośćmi, więc szybko udaje im się rozładować nastrój oficjalny. Leader zespołu młodych mężczyzn Wiesiek gdzieś się zawieruszył, i dlatego chłopcy nie śpiewają. Ale już pędzi Wiesiek z naręczem jaśminu, którym przystraja stolik. I wnet rozbrzmiewa „Marek Mokotowa”.

## PANI STAŃCZAK

Obserwuję zagonioną kierowniczkę ogródka panią Stańczak, do której anegdota o kurze i kaczętkach możnaby odnieść jedynie à rebours.

Ta dzielna kobieta łączy rzadki talent nieodzownej energii z ogromem dobroci i tolerancji. W trakcie rozdawania paczek zjawia się mała Teresa Ossowska, która od wielu dni nie pokazuje się w Ogródku. Sprawy wywiad ustalił, że żaden kataklizm w rodzinie tego nie spowodował. Pani Stańczak siła się na marsową minę, udając, że się namyśla czy wobec tego Tereska może otrzymać paczkę. Mała płacze. Rzecz jasna po solennym wyrzeczeniu się skłonności do wagarów dźwiga z triumfem pakunek, który waży co najmniej tyle ile tragarz. Z zacięciem zawodowego heraldyka rozpytuje p. Kierowniczkę o rodowody podopiecznych. Są nieskomplikowane. Ojciec pijak, matka ma magiel. Rodzice zasypani — ciotka suchotnica. I tak w kółko z niewielkimi odchyleniami.

## PONAD MILION

Pan Forstner, poseł węgierski w Polsce, który przybył tu z nami obciążony dwoma torbami słodczy wyduje się być do głębi poruszony. „Czym jest nasz stutysięczny problem sierocy wobec waszego przekraczającego milion” — mówi wyraźnie zażenowany. Pan Forstner nie był jeszcze w Ogródku Jordanowskim, ale zna go dobrze dzięki „Franciscan Colony” na Starówce. Przyjaźni się bowiem z Ojcem Zdzisławem. Tym samym Ojcem Zdzisławem, który ku zgrozie p. Lipskiej poprowadził wychowanków na film „Grzesznicy bez winy”, a otrzymawszy od p. Żółkowskiego wóz półciężarowy meldował o wrażeniach z wycieczki do Puszczy Kampinowskiej: „Nocleg był dowolny”. Większość dzieci spała na powietrzu na słomie i pod kocami. Dzieci są skrofuliczne i wiele z nich jest zagrożonych gruźlicą — wzdycha p. Zosia. Natomiast chłopcy byli uszczęśliwieni. „Jechaliśmy za darmo Wa-

(d. e. na str. 10)

## W świetle...

## PROPOZYCJE MARSHALLA

APPEL MIN. MARSHALLA z dn. 5 czerwca wywarł duże wrażenie w całej Europie. Specjalnie zyciwe ustosunkowały się do projektów amerykańskich państwa zachodnie - europejskie, a przede wszystkim Wielka Brytania i Francja. Świadczy o tym dobitnie podróz ministra Bevina do Francji zaledwie w kilka dni po oświadczeniu Marshalla. Cała niemal prasa angielska a w ślad za nią francuska (z wyjątkiem organów partii komunistycznej) przyjęła z entuzjazmem plany Waszyngtonu dopatrując się nawet w ich realizacji zapowiedzi rychłego utworzenia Stanów Zjednoczonych Europy. Znamienne jest, że szereg publicystów cytuje ostatnio zaawrty polsko - brytyjski układ handlowy, jako wzór układów, które w przyszłości winny połączyć wszystkie państwa europejskie. Uwienczenie skutkiem zamiarów amerykańskich zależy w pierwszym rzędzie od stanowiska ZSRR.

W najbliższych dniach ma się odbyć konferencja ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Francji i ZSRR.

Trudno uwierzyć by Stanami Zjednoczonymi kierowała wyłącznie chęć dopomożenia zniszczonej Europie i przyspieszenia jej odbudowy. Przyczyną tego nagłego przypływu braterskich uczuć do wszystkich narodów kontynentu nie wyłączając ZSRR, wydają się zupełnie wyraźne. W ciągu ostatnich lat Stany Zjednoczone udzieliły państwom europejskim znacznej pomocy głównie w żywności, artykułach pierwszej potrzeby i sprzęcie technicznym. Wszelkie kredyty przyznane Europie są z reguły użytkowywane na zakup towarów na terenie Stanów Zjednoczonych. Waszyngton dysponując nadmiarem żywności i rozmaitego rodzaju fabrykatów eksportuje bardzo chętnie, jeśli chodzi jednak o istotne korzyści jest rzeczą powszechnie wiadomą, że państwa europejskie przez długi okres czasu nie będą w stanie pokryć finansowo swych zapotrzebowań. Wobec tego, Stany Zjednoczone pragną prosto zabezpieczyć trwałe swe interesy na kontynencie europejskim. Wprawdzie Marshall wysunął argument motywujący plan pokrycia Europy siecią wzajemnych umów handlowych — koniecznością niestawienia współpracy nad odbudową i ułatwienia Stanom Zjednoczonym akcji pomocy. Łatwo jednak odgadnąć co kryje się az tym gestem. Ameryka chce stworzyć mocne podstawy pod swoje wpływy w Europie i rozszerzając swe rynki bytu osiągnąć wreszcie jakąś re- kompensate. Pozaatem w wypadku nieprzystąpienia Rosji, a może i innych krajów wschodnio - europejskich do wzmiankowanych układów niewinna zgola akcja gospodarcza nabrałaby momentalnie silnych akcentów politycznych. Blok Zachodni mógłby się stać faktem dokonany i to w zasięgu jeszcze szerszym niż propagował to Churchill. Marshall natrafi jeszcze na jedną przeszkodę w realizacji swych zamierzeń — mianowicie Francja niewątpliwie przeciwstawi się wciągnięciu Niemiec do jakiegokolwiek wspólnoty gospodarczej w charakterze równorzędnego partnera. Najbliższe tygodnie przyniosą wyswietlenie sytuacji na tym odcinku. Bardzo możliwe przy tym, że optymizm Marshalla okaże się nieuzasadniony i cała sprawa skończy się fiaskiem.



**CHOUCAS**“ ukazuje galerię ludzi niewątpliwie pełnych oryginalności, może dlatego, że są robotkami. Istnieje coś takiego jak egzotyzm robotników: ich oczy, budzące się obłąkania, lecz ciągle jeszcze zmęczone spotkaniem z grozą, ich zewnętrzny wygląd, zamieciony i zniszczony. W „Choucas“ jest za powiedz tego triumfu, którym są „Charaktery“: ten dar widzenia wszystkiego, ten dar indywidualizacji. „Charaktery“ są bardziej statyczne, w „Choucas“ inscenizacja polega na odmotaniu przeszłości. Czas jest bohaterem tej książki w sposób mniej podkreślony, niż w „Czarodziejskiej górze“, lecz równie świadomie. Powieść ta okazuje jak bardzo los człowieka w koncepcji autorki jest od niego niezależny. Kuźnia Wulkana zostanie pokazana dopiero w „Niecierpliwych“. Ale w „Choucas“ jest już cień psychobiologicznego dziedzictwa, nieświe dla soba Curchaud, pani de Carfort, Fuchs. W większości wypadków o losach tych ludzi rozstrzyga po prostu, to, że znaleźli się w obrębie działania jakiegoś wulkanu — jako owi Ormianie, jak nawet małżeństwo Saint-Albert, gdzie tylko wybuch wulkanu miał formę.

We wcześniejszych nowelach Nałkowskiej jest dużo werbalizmu, ich język jest trudny, bo ma jednocześnie osłaniać i maskować. Dopiero krótkie fragmenty z „Charakterów“, z których każdy jest jak świetny z prospekt mienapisanej powieści, dają pełną zapowiedź tego, o co chodziłoby u Nałkowskiej, autorce „Niedobrej miłości“ i „Granic“.

„Niedobrej miłości“ i „Granic“ nie istnieją możliwości apriorycznej filozofii moralnej. Moralność jest dla Nałkowskiej wiedza, oparta na doświadczeniu. Nie wiadomo, jakimi możemy być, tego człowiek dowiaduje się u końca, u zamykającego się ogniwa — jaki musiał być, jaki był.

Jest to utwór, który powstał niejako dla zabawy czy dla ćwiczenia, rodzaj pisarskiej sali gimnastycznej. Interesujące jest to, jak „Charaktery“ nawiązują do stylu francuskich moralistów, La Bruyere'a bardziej niż Chamfort'a. „Charaktery“ znajdują się na linii literackiej, biorącej się od patrona La Bruyere'a — greka Teofrasta — i szczególnie uwypuklonej we francuskim wieku XVIII. Mniej o wiele od Nałkowskiej tkwią autorzy „Maksym“ i „Charakterów“ w obserwacji, przynoszą gotowe spostrzeżenia. Nałkowska pokazuje swoje postacie, odsyła czytelnika do dowodu, wciąga go do współpracy, wnosiuje z nim razem, potrzebuje jego zgody. Wprowadzając w tok swej filozofii moralnej ludzi żywych, choć anonimowych, choć typowych dla problemu, wprowadza polska autorka moment nowelistyczny. Nie retoryczny jednak, lecz dramatyczny i realistyczny — znowu sledzimy tych ludzi, którzy mają tylko imiona i epigramaty poprzez ich gesty, poprzez ich zwyczaj, poprzez ich zachowanie. I z relacji zewnętrznej wyciągamy wnioski, które odrywają się już od pojedynczego faktu, nabierają mocy generalnej. Inaczej niż w moralistach francuskich. Ich mistrzem był Montaigne — i klasycy antyczni, ich żywiołem jest myśl, jest gotowa formuła. Czują wobec życia tę swobodę, jaką odczuwał Montaigne, ale swoim myśleniem o życiu nadają ton formuły, ton czegoś skończonego — jak ostatecznie zawsze domknięty jest w sobie każdy z foryzm. Stąd ich pseudoklasycyzm i patos, którego nie znajdziecie u Nałkowskiej, gdzie wszystko, co powiedziane, jest bezpośrednio i świeże, uczuciowe raczej niż intelektualne. A jednak, ich sposób myślenia o ludziach nie pozostał bez śladu na widzeniu Nałkowskiej, odbił się na sposobie tworzenia charakterów. Jej ludzie są w pewnym sensie abstrakcyjni jak formuła abstrakcyjnego człowieka, którą analizowali moralści XVIII w. Abstrakcyjni, gdyż nie mają w sobie zapisanych dążeń, **zależności, wielkiej napiętności**, prze-

jętej z zewnątrz. Są zwróceni ku sobie, ku analizie tego, co ze sobą przynieśli, co odziedziczyli. Nie wzbogać ich własne żadne szaleństwo. Nie cierpią na schizofrenię, są sobą — do końca. Człowiek, którego rozważa La Bruyere czy Chamfort, lęka się nade wszystko śmieśności. Nawet w najgłębszym z nich, La Rochefoucauld, jest tak widoczna obawa przed dziedziną ridicule. Nałkowska nie przeżywa tego postrachu. Jej dbałość jest skierowana raczej na to, aby z „Charakterów“ usunąć retorykę, werbalizm, przesłanki, których nie dostarcza doświadczenie. Podejmując tamtą linię literacką, wniosła w nią Nałkowska swą psychiczną oryginalność. Jest to bezwzględnie ten rodzaj wiedzy o człowieku, który nie jest przydatny filozofom z katedry. Ale jest to ten rodzaj, który częściej niż podręczniki zwraca uwagę czytelnika na siebie samego. „Charaktery“ są książką, która leżeć powinna na wierzchu w tym, co Irzykowski nazwał garderobą duszy. I szkoda, że nie zostały kontynuowane.

„Ściany świata“ spajają u Nałkowskiej świat ludzi wykształconych ze światem ludzi prostych, których domem był „Dom nad łąkami“. Dla analitycznej metody Nałkowskiej różnica ta nie jest ważką. Świat uczuć ludzi prostych nie jest jakościowo odmienny, jest równie skomplikowany i równie misterny. I cele, które sobie ludzie tych dwu światów zakładają, są podobne. Świat Nałkowskiej jest światem rzeczy zmysłowych i doraźnych. Osobliwość zaczyna się dla niej niesłychanie blisko człowieka. Aby dostrzec fantastykę życia. Nałkowska nie potrzebuje oddalać się od rzeczywistości pięciu zmysłów. Czy to jest wyrażanie wyobraźni, czy właśnie najwikszą prostotą, tego pytania nie podejmują się rozstrzygnąć. Zarazem „Dom nad łąkami“ świadczy, że Nałkowska w stosunku do ludzi prostych pozostaje obserwatorką, kimś z zewnątrz, kimś z inteligencji. Jej żywiołem jest miasto i środowisko inteligentkie — jak u większości pisarzy dwudziestolecia. Świat Agnieszki nie jest dla autorki egzotyczny, najwyżej osobliwy, egzotyczny jest dla niej natomiast świat „Domu nad łąkami“. Pod tym względem ówczesna literatura polska przypomina raczej literaturę francuską, niż np. skandynawską. Wielka polska masa chłopska, po Reymoncie, który był jej malarzem, ale nie był jej trybunem, nie wydała narazie nikogo na tę miarę nawet. Pozwalała o sobie mówić, obojętna i nieciekawca nawet tych nadziei, które w niektórych kołach inteligentkich budziła. Nie znalazł się jeszcze nikt, kto by do niej trafił, nawet ci, którzy twierdzili, że przemawiają w jej imieniu.

Czynnikami, który w sposób istotny łączy w „Ścianach“ dwa światy społeczne, jest zagadnienie zła. Pamiętamy, jakie obiekty moralne nasywała Mauriac'owi rewelacja zła w pisarstwie. W tonie persyflaży pisała Nałkowska w „Ścianach świata“ bardzo podobnie: „gdy się o czymś wie, to jest tak, jakby tego pragnie nie było. Jest to zapobieganie temu, aby rzecz wroga nie przeniknęła do systemu krwionośnego, nie pomknęła i nie rozpowszechniła się śladem obiegu krwi. Bo wszystko, co jest, coś za sobą pociąga. Wszystko jest powiązane, wszystko kształtuje wciąż świat. Jakże można nie ubijać zła, które, widziane i wiedziane, jest jednak o tyle gorsze, niż podejrzewane...“ W jednym z wywiadów (w Pionie, 1936) Nałkowska stanęła na stanowisku, że moralność twórczości artystycznej jest dyscypliną odrębną od moralności, którą normujemy i własne i według której sądzimy cudze czyny. Dla pisarza istnieje obowiązek dokładnego ujrzenia i ścisłego zdania sprawy z ujrzanego. Zobaczyć świat raczej jakim jest, niż jakim być powinien.

Zło w „Ścianach“ jest istotnie jakby przytłajone, stanowi zagadkę. Występuje jako dziedzictwo i jako zbieg okoliczności w świecie gdzie wszyst-

Włodzimierz Pietrzak (Balk)

# REFLEKSJE NAD TWÓR

(Część 5)

ko jest powiązane, gdzie istnieje immanentna konsekwencja. Autorka podnosi wątpliwości, czy retorsja społeczna przeciw zbrodniarzowi nie idzie zbyt daleko, czy społeczeństwo, stosując karę, ma prawo łamać i niszczyć człowieka, czy w systemie penitencjarnym jest miejsce na wychowywanie. Nie tylko „Granic“ lecz i „Ściany świata“ są interesującym materiałem dla teoretyków prawa karnego i społeczników. Zrobiwszy ten odsyłacz, trzeba napisać, że problem winy u Nałkowskiej jednak istnieje. Na końcowych kartach „Niecierpliwych“ jest miejsce, gdzie jedna z postaci mówi, że człowiek nie może odpowiadać za to czego chce, a tylko za to, co wykona. Czy można nie wykonać tego, czego się chce — oto kluczowy problem zarówno Renaty jak Zenona, Jakuba z „Niecierpliwych“, jak Róży z „Krzyku zasłyszanego“.

Świat Nałkowskiej jest jednorodny, nie ma w nim rozgraniczeń między tym, co ludzkie, co z humanistycznym bierze się rozwoju, a tym, co powstaje z przyrodniczej ewolucji. Ten naturalistyczny panteizm, w którym nieład porządku, a ład niemal tożsamości na pierwszy plan się wysuwa, nie wydaje się przekonujący.

Logos humanistyczny, oparty o istnienie cywilizacji, jest w swoich prawach całkowicie przeciwstawny założeniom ewolucji przyrodniczej. Ewolucja przyrodnicza jest nieswiadoma celu, wychodzi z instynktu, z przyczyny. Logos humanistyczny jest docelowy, opiera się na wartościowaniu absolutnym, to znaczy, kieruje się faktem, że wartość musi być osiągnięta. Ewolucja humanistyczna nie jest realizacją jakiegoś platońskiego czy heglowskiego planu idei. Logos

humanistyczny niczym innym nie jest jak potencjałem możliwości, gdzie rolę odgrywają i ciężenia nieświadome, zarówno psychologiczne jak biologiczne. Są one jednak podporządkowane funkcji wartości. Z oceny wartości wynika świadome dążenie, uwikłane w walkę, w konflikt żywiołu nieświadomego i świadomej wartości, instynktu i obowiązku. Jednak nie obowiązku, mówiącego przez nas i opartego o kazuistykę dydaktyki, lecz obowiązku odczutego przez nas, odniesionego do najwyższych wartości własnych. Tu rozświeła się luka na zagadnienie potrzeby Boga w nowoczesnym świecie. Trzeba mieć Boga. Inaczej jest się bezbronnym wobec wartości, inaczej wyrzyna się wartości ostateczną i jedynie możliwą jej podstawę, podstawę odpowiedzialności.

Obowiązek pisarza, taki jakim go widzi Nałkowska, wiąże się całkowicie z jej poglądem na świat. Zmiany w świecie zastanym wprowadza nie świadoma ludzko humanistyczna wola, lecz poza człowiekiem leżące prawo ewolucji. Postulowanie rozwoju w oczach Nałkowskiej polega na złudzeniu, jest fikcją, która może być przyjemna i intelektualnie interesująca, lecz moralnie pozostaje nieprawdziwa. W tym świecie nie ma miejsca na działanie energii, istnieje popędowe działanie biologiczne, lecz nie energia społeczna. Nałkowska nie wierzy w istnienie energii społecznej, jeśli tak się można wyrazić. Przemiany społeczne są w jej oczach jakąś sumą przemian indywidualnych, nie mają własnych układów odniesień.

Bohater literacki powstaje z pytania, co czynić należy, aby sprostać życiu. Człowiekowi Nałkowskiej po-

zostaje tylko gest konstatający — więc tak musiało być. Strzał samobójczy w zakończeniu „Granic“ i „Niecierpliwych“ jest ilustracją wniosku, że nie można nic poradzić na przeciw życiu, które jest jednocześnie wspaniałe i złe, takie jakże ukazuje się Cecylii Kolińkowskiej. Autorka „Granic“ jest pisarką doznawania życia. Karty tej książki, poświęcone młodości Elżbiety i Zenona, nade wszystko jednak starości, mają rys ostatecznej dociekliwości, są przedłużeniem „Charakterów“. To bardzo silne karty.

Z „Niedobłą miłością“ wchodzi się w świat uczuć Nałkowskiej. Jest to świat, w którym jest człowiek szamocze wobec żywiołu — i w tym jest pewne podobieństwo do Żeromskiego. Bohaterowie Żeromskiego wiedzieli jednak, że ich walka z żywiołem uczucia jest walką obowiązku i szczęścia. Tym samym istnieje zarysowany problem moralny, który ich obejmuje, w który wstępują jak w oczyszczające wtajemniczenie. U Nałkowskiej nie ma z góry uświadomionych zasad moralnych. Jest żywioł, lecz ani tak nieświadomy, ani tak biologiczny jak u Przybyszewskiego. Miłość u Nałkowskiej zawiera nie tylko beznadziejną żądzę, ale fantazję, ale zachcenie, które ma podkład już wyraźnie psychiczny. Ciało, którego sprawy w przeciwstawieniu do tradycji naturalizmu nie są u Nałkowskiej brutalnie i jaskrawo odsłonięte, jest organem ostatecznego porozumienia, narzędziem rozdzierania tajemnicy, lecz nie ostateczną instancją. Ostateczną instancją miłości stanowi nieświadomy nakaz, nieświe domo przyczyn potrzeba owdarcia i zdobycia świata psychicznego drugiego człowieka. To owdarcie

## Z pamiętni

Na ulicy pewnego miasta te anonimowe zapiski znalazł i niedyskretnie do druku podał Jacek Woźniakowski.

Nareszcie! Dziś redaktor dał mi przez telefon słowo honoru, że będzie w następnym numerze. To już chyba dziesiąty raz daje słowo. Ale tym razem honoru. Może co z tego wynika. Nic tak nie krzepi wiary we własne siły, jak zobaczyć siebie w druku.

Piekło i szatani — powtarzam za poetą. Nowela jest. Ale zmasakrowana! Dosłownie: z m a s a k r o w a n a. Każde zdanie miało w niej wagę niezastąpioną. Całość harmonijna. Czytam. Dwóch zdań brakuje! Dwóch!! Dzwonię. Redaktor mówi, że to zecer. A niech zecera szlag trafi! Czytam z trudem dalej. Dochodzę do punktu kulminacyjnego: „Rudolf zakrzyknął przeciągle“. Oczom nie wierzę. W tekście jest najwyraźniej: „Rudolf zaryknął przeciągle“. Czytam jeszcze raz. Czarno na białym: zaryknął. Jezus Maria. Dzwonię. Redaktor mówi, że to zecer. Wywalić zecera! Redaktor mówi, że to najlepszy zecer w mieście. Wieszam słuchawkę z traskiem. Jak ma się rozwinąć literatura, kiedy mamy takich zecerów!

Oczywiście za to „zaryknął“ wszyscy mnie wyśmiejają. Księżka napisze i w „Notach“, i w „Camerze Obscure“. Posłałem już sprostowanie.

Chwała Bogu, że będzie sprostowanie. Zresztą powinni się zorientować, że to zecer. Kupiłem jak zwykle wszystkie ważniejsze tygodniki, ale jeszcze nie ma w „Przeglądach Prasy“. Za wcześniej.

Znow kupiłem wszystkie tygodniki. I znow nic nie ma. Ślamazarnie prowadzą te przeglądy prasy. Zawsze musztarda po obiedzie. Przy okazji — znow awantura z ciocią. Mówi, że majątek wydają na „piśmidła“ (!) i, że jak mam do przeczytania w tygodniu sześć tygodników i jeden miesięcznik, to mi nie zostaje czasu na przyzwolną książkę. A palec na pulsie kultury, to co? spytałem cioci. Machnęła ręką. Ja też.

Dalej nic nie ma. Żeby choć wyśmiali. Do diabła. Za to ciocia jak przeczytała nowelę, to zdecydowała, że muszę gdzieś wyjechać. Choćby na uniwersytet. Cieszę się szataniem. Nareszcie wpłynę w żywy nurt kultury.

Przyjechałem po południu i zaraz poszedłem do stołówki literatów, wszystkie te wielkie nazwiska zobaczyć na własne oczy. Wejść w żywy nurt literatury. Było pełno. Dosiadłem się do jakiegoś pana w okularach. Nic mogłem sobie tej twarzy przypisać z żadnej gazety, ale snułem domysły. Wreszcie przedstawiłem mu się, bardzo wyraźnie. Oni tu przecież wszystko czytają. On coś mruknął pod no-

sem. Nie dosłyszałem. Dwa stoliki dalej zauważyłem profil, który znam świetnie! Tyle fotografii, rysunków, karykatur! Zapytałem na wszelki wypadek mojego sąsiada — czy to ten? Obejrzał się, ruszył ramionami i powiedział: „Nie wiem“. A na pewno bestia wiedział. Nie mógł nie wiedzieć.

Chodzę ciągle do literatów, ale jakos bez skutku. Za to lepiej na uniwersytecie. Wpływam w żywy nurt życia umysłowego i nawet politycznego. Poznałem jednego z „Wiel“, jedną koleżankę z Z.N.M.S-w i trzech katolików. Podobno jeden nawet dydakalny. Szukam jeszcze marksistów.

Dziś wszedłem w żywy nurt życia teatralnego. Publiczność jak to wszędzie — nieokrzesana, śmiała się w poważnych miejscach a potem wszyscy wyszli wściekli!

Ciężko trzeba nam jeszcze pracować nad wyrobieniem gustu mas! Tylko mi trochę żal było aktorów, którzy tyle musieli nauczyć się na pamięć, i nic z tego. Postanowiłem napisać recenzję.

Napisałem nietyle recenzję, co satyrę na publiczność. Za punkt wyjścia posłużyło mi takie opowiadanie Zoszczenki: robotnik zapłacił składkę na samolot, który ma ufundować fabryka — poczem zakrada się do lotniczych zakładów konstrukcyjnych i zwiędza je, oglądając wszystko i bu-



# CZŁOŚCIĄ NAŁKOWSKIEJ

druga)

jest nietrwałe, kruche, nie wiadomo dlaczego psuje się i niszczy. Narażone jest na kataklizmy wewnętrzne, takie jak w sprawie Blizbora, jak w „Granicy”. W „Granicy” można mówić o winie, w wypadku Blizbora i Renaty wina jest wykluczona. Wkraczamy tu w przestrzeń, która jest nie wytlumaczalna przez nic, irracjonalna, którą człowiek nie może opanować. Tym prawom nieznanym (czy są to w ogóle prawa? czy po prostu niśnienie, wobec którego jesteśmy wyrozumiali i lekceważący dopiero wtedy, gdy niezdolni staniemy się do odczuwania tego żywiołu) można się tylko podporządkować — i w tych granicach jest ludzkie doznanie szczęścia, nie liczące się z żadną cudzą krzywdą. Blizbor nie może sobie niczego wytłumaczyć, nie zestawia ze sobą tych dwu kobiet. W tej chwili wydaje mi się szczególnie drugorzędym świetność i kunsztowność konfliktu tej powieści, pyszny durerowski rysunek charakterów i sytuacji. Rysunek Mami Siestawskiej idzie o lepsze z postaciami pierwszego planu. Ale jedynie istotne jest ustawienie tego dramatu. Tu nie ma nic ze snu nocy letniej. Tu są ludzie, którzy zaciskają zęby, aby nie krzyknąć z bólu. Jesteśmy w świecie, w którym nie ma obowiązku, gdzie się jest tym bardziej tragicznym, że zdaniem tylko na siebie, na kompas tak zawodny, jak własne wielkie pragnienie. Nic bardziej oszałamiającego jak taka wolność. Nie można w nią uwierzyć, trzeba się z nią pasować.

Nałkowska narysowała tę walkę z daleka, jak grę cieni, nie powiedziała jej nigdzie, nie pokazała przebiegu wewnętrznego dialogu w Renacie i w Pawle. Nie wiadomo, co myśleli, ale wiadomo, co czuli. Nie jest to tylko kwestia różnic formalnych,

kwestia odrębnych artystycznych chwytów. Możemy sobie wyobrazić, jakby taki konflikt opisał Żeromski — ile w jego mis en scene byłoby Dostojewszczyzny, schodzenia w siebie, poczucia katastrofy. Żeby zrozumieć odrębność duchową Blizbora i przede wszystkim Renaty, należy przypomnieć sobie Conradowskiego Lingarda. Dla Renaty problem nie jest właściwie problemem moralnym, ona go nie widzi od tej strony. Jest problemem nieledwie biologicznym, Renata od początku nie widzi innego wyjścia. Jest jedną z tych kobiet, które napewno istnieją, dla których świat zaczyna się i kończy blisko, które widzą jego odchłanność, ale nie dostrzegają przedłużenia. Są to twory specjalne cywilizacji, tworzone przez tę jej epokę, kiedy nadchodzi czas odprężenia wartości absolutnych, kiedy wartości absolutne przestają człowieka dęczyć i wiązać. Czy przez to konflikt Renaty jest słabszy, mniej wyraźny, niż konflikt Toma Lingarda z „Ocalenia”? Nie, najwyżej mniej patetyczny. Lingard był postawiony między uczucie, a to, co uważał za obowiązek, za nakaz wyższej mądrości. Jeśli odniósł zwycięstwo nad mocą nienazwaną żywiołu, to wcale nie w imię obowiązku, a właśnie w imię uczucia. Poświęcił uczucie, aby uratować nieskazitelną miłość. W tym zwycięstwie była trująca i zarazem gorejąca gorzka. Ale, nawet wierząc, można nie mieć racji. Moralność Lingarda wydaje się zbyt skomplikowana, zbyt chytra. Jest to moralność człowieka przewrażliwionego, nasyconego ustawicznymi wyrzutami sumienia. Lingard poświęcił swoją miłość w strachu przed wyrzutem sumienia, przed troską, że jego miłość i tak jest bez przyszłości,

że skończy się tym szybciej, im łatwiej zostanie przyjęta, dopuszczona. Ten patos ofiary, romantyczny i piękny, wydaje mi się fałszywy. Przychodzi już czas na niejedną rewizję. Jestem po stronie Renaty, gdyż nie wydaje mi się konieczne, aby człowiek cierpiał dzięki fikcjom, które tworzy tak łatwo, w które się obmota. Trzeba pozwolić mu być sobą, leczyc go lekko z egzaltacji, z emfazy. Na tyle tylko, aby odjąć jego życiu moralnemu sztuczność, sztuczność werterowską. Bądź prawdziwy — taka raczej winna być dewiza ludzkiego rodzaju.

„Niecierpliwi” wyróżniają się swoją literacką a rebours, t. zn. właśnie tym, że w niczym nie idą na ułatwienie czytelnikowi. Są powieścią doskonale hermetyczną, napisaną przede wszystkim dla siebie, może też dla potrzeby ryzyka. Styl tej książki nie jest poufny; wynika z chęci ustalenia tożsamości zjawisk ostatecznego ujęcia ich wzajemnych stosunków powiązań — i w tym sensie leży konsekwentnie na linii pisarskiego wysiłku Nałkowskiej. Bohaterem „Niecierpliwych” nie jest jednostka ludzka. W tej powieści okazuje się, że człowiek sam przez się nie jest do wytłumaczenia, że potrzebuje układu odniesienia. „Niecierpliwi” są powieścią o układzie odniesienia, o kuźni Wulkana. Bohaterem jest tutaj anonim życia. Uderza chęć odnalezienia stosunku do własnych przyczyn, do swego moralnego uzasadnienia. Wielkością pisarza nie jest sztuka pisania wielkich zdań, bo i piękno może się starzeć. Wielkość pisarza stanowi jego niepokój wobec pozaludzkiego, wobec tych przeczyn, które tworzą nasz świat ogromny działania, uczuwania, chcenia, namiętności, bojaźni. Sztuka jest chęcią

zrobienia porządku z nienazwanym żywiołem, — określić go, ująć w jakieś tamy. W powieści narzędziem tego ujęcia była zawsze koncepcja bohatera. Bohater literacki był zdobywcą nieznanego, Jego perypetie dawały przekrój świata. Nałkowska nie wyodrębnia swoich bohaterów z życia, nie daje im gatunkowej odrębności. Podtrzymuje u siebie jedność amalgamatu życia, niemożność rozoznania się w nim. Wysiłek humanistyczny skierowany jest na to, żeby poznać i opanować. Wysiłek Nałkowskiej rezygnuje z drugiej części tego programu — aż do „Niecierpliwych”.

„Niecierpliwi” mają ambicję, aby wyznaczyć drogi ludzkiego przeznaczenia i odnosić los ludzki do żywotów pokoleń poprzednich, do dziedzictwa biopsychicznego. Umarli nie kończą ze śmiercią swych rozrachunków z życiem, z tym, co jest moralnością życia. Ich sprawy odżywiają w pokoleniach następnym, wyznaczają dusze pokoleń i życie ludzkie jest widownią walki między dziedzictwem a warunkami nowymi, które się usiłują wderzeć w człowieka, zakotwiczyć w nim i usunąć z niego panowanie przeszłości. Człowiek nie odpowiada za swoje dziedzictwo. Czy może mu się zwycięsko przeciwstawić — oto pytanie „Niecierpliwych” negatywnie rozstrzygnięte na losach Teodory i Jakuba. Ta forma determinizmu nieco przycina sam problem. Nierozstrzygnięte zostaje pytanie, w jaki sposób tworzą się pierwsze formacje ludzkie, ci dziadkowie i pradziadkowie, czyje oni podejmują dziedzictwo. Dochodzi się tutaj do rajy utraconego, do prologu, który pisał Milton. Ale Nałkowska bardzo jest odległa od tego, aby nawiązywać do Miltona.

Indywidualność ludzka w perspektywie „Niecierpliwych” jest strumieniem, przez który nurt przepływa, lecz sama nie jest nurtem. Jest częścią jakiejś ogólnej świadomości, lecz sama nie jest świadomością, dostatecznie odrębną, dostatecznie własną. Tymczasem wydaje się, że człowiek każdy ma prawo własności nie tylko w stosunku do tego, co dziedziczy i przejmuję, lecz w sensie tego, co się od niego zaczyna. Człowiek od siebie zaczyna świat. Przejmuje dziedzictwo biologiczne i kulturalne, ale przetwarza je, nadaje mu własne piętno — nową twarz. Testament przekazuje raczej niewiele ze świadomości ludzkiej. Nałkowska pragnęła zasugerować, że życie jest w końcu wieczne i niezmienne, że podejmujemy je w innych wariantach, ale że sprawy ludzkie są zawsze te same. Istotnie, moralnie istnieje jedność i ciągłość problemu. Jednakże, problem moralny życia komplikuje się coraz bardziej, rozgałęzia się w subtelności i formy, których nie znał Ben Akiba. Ta komplikacja staje się zrozumiała dopiero w płaszczyźnie historycznej: dzieje są świadectwem jak człowiek miota się poprzez historię, jak się w niej odnawia i nasycy nowymi formami życia.

Nie zmienia się problem moralny życia, ale zmieniają się formy i zakres moralnej odpowiedzialności człowieka. Źródłem tej zmiany jest odnawianie się treści psychicznych w pokoleniach, zagadnienie zmiany postulatów, które pokolenia sobie stawiają i życiu. I tu jest miejsce odpowiedzialności osobistej, a jeżeli ona istnieje, to musi istnieć i wybór między działaniem a bezruchem przy różnych formach działania. Człowiek może utajać swą energię społeczną, nieprawda, że pojęcie energii społecznej jest wymyślone sztucznie i że w rzeczywistości nic mu nie odpowiada. I właśnie energia społeczna jest tym, co tworzy nowe wartości humanistycznego logosu i nowe wartości techniczne. Wszystko w dziejach jest przez człowieka.

Jeżeli w „Kursie literatur słowiańskich” mógł Mickiewicz powiedzieć, że po dziesięciu wiekach cywilizacji

chrześcijańskiej w Polsce w wyglądzie kraju nic się nie zmieniło, lasy tylko znikły, ale „te same rodzaje zboża i tak samo są uprawiane, jak były za Herodota i wioski, budowane swoim odwiecznym trybem, wyglądają jednak: we wszystkim tu człowiek mało ujął i dodał. Gdzieś niedaleko pałac murywan... Kilka dróg służy do sprowadzania przedmiotów zbytku, które bynajmniej nie wpływają na byt gminu. Oto wszystko, co tzw. cywilizacja przyniosła krajom słowiańskim”, — to taka jest rzeczywistość, odpowiadająca przekonaniu, że w życiu nie ma miejsca na energię społeczną, na cywilizację humanistyczną. Świadomość polska koczując się ciągle w kręgu potrzeb naturalistycznych, między jedzeniem a spaniem. Trzeba wreszcie obudzić w niej wolę tworzenia, postanowienie dawania z siebie, a nie spożywania, nie czerpania z zasobów.

To właśnie największy wyrzut dla literatury dwudziestolecia: nie rozumiała własnej socjologii, nie potrafiła badać polskich warunków historycznych na przełomie epok. Nikt nie zaprzeczy, że miała ryzyko piękna. Piękno nie wystarcza — samo. Ma jeszcze zapładniać, ma budzić świadomość roli człowieka. Taką jest jego rola cywilizacyjna, szerza i ważniejsza od wizji Patara, gdzie piękno przychodziło umilać puście godziny i nie miało innej ambicji, jak ambicja lutnisty. Ale intelektualności, choć od XVIII w. dopominali się o rząd dusz, nie umieli sponowować tych wielkorządów. Starali się tedy wykazać, że życiem nie kieruje żadna wizja wielkości, wizja kategoryczna tworzenia, że życie kieruje się samo. Najważniejszy problem polski, problem naszej cywilizacyjnej niedostateczności, został nie dostrzeżony.

Pozostawałoby jeszcze do rozpatrzenia jedno zagadnienie, zagadnienie szkoły Nałkowskiej. Można mówić o wpływie Nałkowskiej, gdy chodzi o język — w dobie powszechnego odwrócenia się od żeromszczyzny. Ważniejszy byłby wpływ Nałkowskiej, gdy chodzi o pojmowanie człowieka jako jedynej możliwości zetknięcia się świadomości ze światem zewnętrznym — wpływ ten dałby się ustalić u Kuncewiczowej, zapewne u Brezy, u Kuczyńskiego. Przez szkołę literacką rozumie się jednak nie takie, czy inne sięgnięcie po efekty, lecz podjęcie postawy moralnej, podjęcie poglądu na świat.

Postawa Nałkowskiej w dwudziestolecie wydaje się mimo wszystko odosobniona. Do stworzenia szkoły nie wystarcza uznany literacki autor, potrzeba do tego jeszcze wspólnego podłoża i wspólnego psychicznego klimatu. Nałkowska nie miała wspólnego klimatu z większością swego pokolenia, ani z generacją następną. Pozostała osobno jako wyrazieliwa niemocy społecznej elity intelektualnej. W postawie obserwacyjnej, w niechęci do wszelkiego mistycyzmu, w dyspozycji do realizmu.

Tymi cechami przesycony jest Zenon Ziembiewicz z „Granicy”. W młodości napełniony gorzycą i buntem wobec poprzedniego pokolenia, dorastając, wchodzi w jego koleje, podejmuje jego linię. Prawda o Ziembiewiczu jest zresztą prawdą o oportunistycznym społecznym. Ziembiewicz należał do ludzi, którzy bardziej cenią rzeczywistość niż wyobraźnię. Z jego życia wynikałoby, że liczenie się z rzeczywistością, choć tak trzeźwe, niezawsze jest uzasadnione, że trzeba mieć więcej zaufania do wyobraźni: ryzykować burzą do końca. Wyobraźnia jest czymś innym niż fantazja, tworząca świat marzenia. Wyobraźnia jest twórcza: marzenie traktuje jako wstęp do nowej rzeczywistości, nie jako cel w sobie dostateczny. U jej źródeł czyha zawsze wielka namiętność.

## KÓW literata

dząc popioch wśród inżynierów, mówić: zapłacić, więc musi skontrolować, bo a nuż samolot zrobią, a tu „propeler nie obraca się, a?” Oczywiście wyrzucają go za drzwi. Więc tak samo publiczność! Nic się nie zna, a chce, żeby w teatrze zwracali na nią uwagę!

Zanosiłem do redakcji. Redaktor powiedział, że owszem, ale że Zoszczenko dziś niemodny. Chodzę więc dalej do literatów, ale ciągle jeszcze bez skutku. Szukam dalej marksisty.

Nareszcie Poszedłem do literatów z koleżanką, która znała jednego pisarza. Zjadł z nami zupę. Jak oni się wszyscy ze sobą znają. Wołali do niego na wszystkie strony: Stasiu! Chciałbym wypić z panem Stasiem bruderszafta.

Poznałem marksistę. Spytałem się: „Czy kolega jest naprawdę marksistą?” Uśmiechnął się tajemniczo i powiedział: „Najprzód metodologia, a potem porozmawiamy!” Poszedłem do biblioteki po metodologię. Ale nie było.

Napisałem felieton do dziennika. Wydrukowali, nawet bardzo przedko. Ale znów nic, ani w przeglądach prasy, ani nigdzie. Trzeba koniecznie lepiej poznać literatów. Muszę wypić z panem Stasiem bruderszafta.

Spotkałem marksistę. Powiedziałem mu, że nie znalazłem metodologii. Wyciągnął z pod pachy książkę, z tajemniczym uśmiechem powiedział: „Winogradów!” i przeczytał mi takie zdanie: „Sposoby dialektologicznej interpretacji dopuszczają w strukturze utworu literackiego metodologiczne wyodrębnienie socjalnych form dialektycznych oraz literackich kategorii stylistycznych”.

Pierwszy raz w życiu całkiem mnie zatkało.

Znów wydrukowałem felieton. I znów nic. Stanowczo muszę wypić z panem Stasiem bruderszafta.

Dzisiaj dzień przełomowy!!! Wydrukowali moją fraszkę:

Łupu C.U.P-u.

Łupu C.U.P-u.

Nie dłub w nosie

Boś nje w B.O.S-ie!

Wieczorem zaprosiłem Stasia do bufetu. Zaraz się też przysiadł jeden malarz. Pokazałem im moją fraszkę. Zaśmiewali się. Wypiłem od jednego zamachu dwa bruderszafty. Jak się już człowiekowi szczęści, to się szczęści!

Pocziwy Staś napisał felietonik i zacytował moją fraszkę, a przemiły Władko machnął obok całkiem niezłyj moją pacną. Przy okazji poznałem kilku jeszcze literatów. Morowe chłopcy.

Wczoraj był wieczór autorski. Czytałem, razem z Jurkiem i Kuńdzim. Mówili kiedyś, że trzeba pusować młodych, więc się ofiarowałem z nowelą. Przyjęli moją propozycję z oznakami widocznej radości. Jestem na afiszach.

Znów jestem na afiszach. Będzie dyskusja o tamtej sztuce. Ustaliśmy z przyjaciółmi (Kuńdzio et consortes), że zacniemy dyskusję — ja i Henio. Ja wyłożę tego Zoszczenkę, a Henio mnie będzie niby zbijał. A potem niech gada publiczność.

Kochany Henio napisał omówienie dyskusji. Obok mój profil, przez Władzia. W tym samym numerze nowy mój felieton. O tamtej fraszce złośliwie wyrażali się w pismach warszawskich. Oczywiście — trafiłem ich w piętę Achillesa! Napisałem do jednego z tych pism ostry protest przeciw nieusprawiedliwionym metodom polemicznym. Wydrukowali. Oliczyłem, że w przeciągu jednego tygodnia moje nazwisko powtórzyło się w prasie 17 (siedemnaście) razy. Nie licząc afiszów.

Dzisiaj dostałem kwestionariusz: „Czy pan powiedział na wznoszenie Akademii Literatury?” Odpisałem, że i owszem. Przeworność nigdy nie zawadzi.

Janek Woźniakowski

Włodzimierz Pietrzak



# Tydzień kulturalny

## KTO BĘDZIE LAUREATEM NAGRODY „ODRODZENIA”

„Odrodzenie” podało skład jury tegorocznej nagrody tego pisma: Maria Dąbrowska, Anna Kowalska, Leon Kruczkowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Jan Parandowski i Stanisław Pigoń. Wysokość tegorocznej nagrody została podwyższona i wynosi zł. 250.000. W roku ubiegłym nagrodę otrzymał nie zbyt fortunnie Tadeusz Breza za powieść „Mury Jerycha”.

Trzeba podkreślić, że nagroda „Odrodzenia” nie tylko ze względu na swą wysokość ma duże znaczenie. Wyrównuje ona bowiem szereg braków w tej dziedzinie i jest wyróżnieniem o zasięgu ogólnopolskim, nie ograniczając w ten sposób ani zakresu tematyki czy problematyki dzieła ani nie łącząc się z miejscem zamieszkania pisarza. Ponieważ przyznanie jej, jak corocznie, ma się odbywać w dniu 22 lipca b.r., więc w gruncie rzeczy nie wiele czasu zostało jurorom do podsumowania działalności pisarskiej i zastanowienia się nad doбором kandydatów na laureata. Trudno nam cokolwiek sugerować, lecz wydaje się nam, że w roku bieżącym nagroda ta, powinna przypaść pisarzowi o światopoglądzie katolickim. Czy to będzie powieść Antoniego Gołubiewa o Chrobrym, czy „Sprzysiężenie” Kisielewskiego lub „Trzyście opowieści” Ksawerego Pruszyńskiego, tym nie mniej wybór powinien paść na któregoś z pisarzy, związanych z obozem katolickim. Podajemy jeszcze dwa nazwiska, które powinny być wzięte pod uwagę: Stanisława Rembeka za jego powieść „Wyrok na Franciszka Kłosa”, która ukaże się w tych dniach nakładem wydawnictwa E. Kuthana oraz Teodora Parnickiego za powieść „Srebrne orły”, wydaną w Palestynie.

## POLSCY FILOLOGOWIE KLASYCZNI

„Meandrze” — nowym powojennym miesięczniku, poświęconym kulturze świata starożytnego, oraz o „Bibliotece Meandra” (pierwszy tom tego wydawnictwa, przyniósł Salustiusza „Sprzysiężenie Katyliny i Wojnę z Jugurta w przekładzie polskim) była już na tym miejscu wzmianka (Nr 9(66) z 22 marca 1947 r.). Warto obecnie wspomnieć o wznowieniu jednego z przedwojennych czasopism filologicznych. We Wrocławiu ukazał się mianowicie niedawno pierwszy zeszyt 41 rocznika organu Polskiego Towarzystwa Filologicznego, noszącego nazwę „Eos — commentarii Societatis Philologiae Polonorum” (str. 184) pod redakcją Jerzego Kowalskiego, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego.

Pierwszych 7 stron po karcie tytułowej zajmują krótkie, w języku łacińskim napisane wspomnienia, poświęcone polskim filologom klasycznym, którzy zginęli w czasie i wskutek okupacji hitlerowskiej w Polsce. Najpierw wymieniono nazwisko prof. Tadeusza Zielińskiego, wielkiego znawcy kultur antycznej i autora wielu podstawowych dzieł z tej dziedziny, zmarłego w 1944 r. Wielkopolanin Ludwik Cwikliński, prof. Uniwersytetu Lwowskiego a ostatnio Poznańskiego, założyciel Polskiego Towarzystwa Filologicznego i pierwszy redaktor jego organu „Eos” — zakończył swe życie w domu ubogich w 1942 r. O kilka miesięcy przed nim zeszedł z tego świata w obozie Sachsenhausen prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Leon Sterabach, wielki znawca języka greckiego oraz literatury greckiej starożytnej i bizantyjskiej. W 1941 r. uwięziony i zaordynowany został profesor historii bizantyjskiej na Uniwersytecie Warszawskim Kazimierz Zakrzewski. Wskutek choroby nabytej w służbie wojskowej zmarł w r. 1939 docent

historii starożytnej Uniw. Warsz. Zdzisław Żmigryder - Konopka. Kilkunastu oprócz tego filologów warszawskich, uczących w tamtejszych gimnazjach, wspomniano jako ofiary „szaleńca teutońskiego”. Do strat uniwersytetu i szkolnictwa lwowskiego należą: znany papirolog Stan. Smolka, profesor romanistyki Kazimierz Jarecki, docenci Marian Auerbach i Jan Smereka, lektorzy Władysław Chodaczek, Adolf Bednarski i Emili Urlich oraz zasłużeni pedagogowie Wincenty Śmiałek, Stanisław Pilch i Edmund Skarbiński. Katolicki Uniwersytet Lubelski odczuł boleśnie śmierć Józefa Birkenmajera, swego profesora literatury polskiej, zdolnego poety, wybitnego znawcy również piśmiennictwa greckiego i łacińskiego oraz zasłużonego tłumacza dzieł z obcych, a zwłaszcza starożytnych literatur. Śląsk utracił badacza swej dawnej literatury w osobie filologa Wincentego Ogrodzińskiego. Szkoda, że nie poświęcono trochę miejsca

zmarłym w czasie wojennym wielu wielkopolskim filologom klasycznym; może nastąpi to w dalszych zeszytach omawianego czasopisma.

Po tych elegiach ku czci zmarłych następuje w pierwszym zeszycie powojennym „Eos” dziewięć prac, napisanych po łacinie przez żyjących filologów polskich (z wyjątkiem pierwszej wydobytej z teki pośmiertnej prof. Zielińskiego a odnoszącej się do Horacego). Także rozprawka Bron. Bilińskiego dotyczy literatury łacińskiej, omawia bowiem opis Grecji, zawarty w „Historii Naturalnej” Pliniusza Starszego. Siedem innych prac poświęcili autorzy różnym kwestiom z literatury greckiej: prof. Sinko ustala następstwo erotyków greckich, rozprawy prof. J. Kowalskiego i L. Rychlewskiej, odnoszą się do retorów greckich, J. Manteuffela do poety aleksandryjskiego Kallimacha, St. Srebrnego do Arystofanesa, W. Steffena do jednego z satyrografów greckich, a Zofii Abramowicz do

poety Hezjoda. Historii starożytnej dotyczy praca J. Wolskiego, napisana po francusku.

Język łaciński i francuski rozpraw wydanego obecnie zeszytu czasopisma „Eos” świadczy, że jest ono przeznaczone głównie dla uczonych zagranicznych, aby im dać dowód, że także w dziedzinie filologii klasycznej nauka polska już na nowo owocnie pracuje.

## KATOLICKIE WYDAWNICTWA

Pan A. Bromberg publikuje w „Kuznicy” wykaz wydanych w 1946 i I kwartale 1947 roku książek. Dane rzeczywiście niebywale ciekawe. Koniecznym jednak dodatkiem byłoby jednoczesne przypomnienie liczb analogicznych wydawnictw przedwojennych. Bez tego bowiem porównania pewne liczby nic nie mówią. I tak np. wg. Bromberga książki treści religijnej stanowiły w 1946 r. 7,2% wszystkich książek w 1947 roku — 8,7% Pozornie dość dużo. Czy jednak w gruncie rzeczy nie jesteśmy świadkami niebywałego braku książek

religijnych? Inne zestawienie mówi, że wydawnictwa katolickie wydały w 1946 r. — 6,2% książek, w 1947 r. — 10,1%. Znowu pozornie bardzo dużo. Ale przecież przed wojną udział wydawnictw tego typu był chyba nieporównanie większy — przy tym wydawnictwa te wydawały nie tylko książki ściśle religijno-teologiczne, ale także powieści, broszury popularno - naukowe itp. Dobrze by było wiedzieć, jak się te sprawy przedstawiają w porównaniu z okresem przedwojennym.

## „LEKARZE - DENTYSCI NA JASNĄ GÓRĘ”

Dnia 5 i 6 lipca 1947 r. odbędzie się Pielgrzymka lekarzy - dentyстів katolików na Jasną Górę, by odnowić ślubowanie z ubiegłego roku oraz dla uproszenia błogosławieństwa Najświętszej Panny dla zawodu ekarsko - dentystycznego.

Informacji udziela lek. dent. Bogusławski Zb., Poznańska 14, tel. 8-83-67.

Zgłoszenia przyjmuje lek. dent. A. Czerwińska — Częstochowa — Al. Wolności 9.

Jerzy Zawieyski

# ROZDROŻE MIŁOŚCI

## Fragment

AKT III

SCENA V

Marta wchodzi, jakby się skradała, — gdy zobaczyła Elżbietę — stanęła przerażona

MARTA

Elżbieta?

ELŻBIETA

Wiedziałaś przecież, że tu jestem. Do mnie tu szłaś. Odkąd tu przybyłaś, myślałam, żeby się z tobą zobaczyć.

MARTA

Gdybym umiała, jak ty — zabić, — jużbyś nie żyła!

ELŻBIETA

Nie uczyniłaśbyś nic lepszego. Jeśli możesz — zrób to!

MARTA

Nie potrafię... Ty... ty.

ELŻBIETA

Nie szukaj ze mną zwady. Po co nam to teraz?

MARTA

Chodzisz wolna po świecie, jakbyś była bez winy! Jakby Bóg nawet kary na ciebie żałował.

ELŻBIETA

Prawdę mówisz. Należy mi się kara.

MARTA

Nie masz takiej kary, która by zrównała mój ból. Nie tylko mój, ale i Andrzeja. Przez ciebie obrzydło mi życie! Na nic mi te dni, żadna robota — na nic! Wyrwałaś mi żywym sercem, zabiłaś mi je!

ELŻBIETA

I to ja, Marto, sprawiłam — to, co mówisz?

MARTA

Ty! Świat stał mi się grobem za życia i gorszym niż dla Andrzeja! — Po coś tu wróciła?

ELŻBIETA

Gdybyś wiedziała po co?

MARTA

Ciągnie cię widać do miejsca zbrodni.

ELŻBIETA

Widać tak. Ale prawdziwie ciągnęło mnie tu do Andrzeja i... do ciebie także.

MARTA

(nie rozumiejąc). Do Andrzeja? do mnie?

ELŻBIETA

Tak. Zrzucić gniew, Marto, jeśli możesz. Przecież o mnie tak samo myślisz jak o Andrzeju.

MARTA

Boś ty mi go zabierała, gdy miałaś

tylu innych? Z miasta nawet ktoś do ciebie przyjeżdżał. Inni we wsi też byli. Dlaczegoś wzięła jego?

ELŻBIETA

Nie zabierałam ci go. Namawiałam Andrzeja często, aby szedł do ciebie.

MARTA

To nieprawda... Gdyby tak było...

ELŻBIETA

Choć on temu nie zaświadczy, musisz mi wierzyć, że mówię prawdę. Chcę ci o nim powiedzieć wszystko, czego sama nie wiesz. Byłam z nim przecież do ostatka, wszystkie jego słowa mam w pamięci.

MARTA

Jakie słowa?

ELŻBIETA

Powiem ci, ale musisz uwierzyć i musisz...

MARTA

Co?

ELŻBIETA

Musisz wiedzieć, że nie jestem twoim wrogiem, — że wiele o tobie myślałam i to, że tu przyszłam — to głównie dla ciebie. Jesteś mi jak siostra, której nie miałam.

MARTA

Czego chcesz ode mnie?

ELŻBIETA

Abyś zrozumiała, że to było nie tak, jak sobie myślisz. Lub jak inni myślą. Nie jestem winna temu, że Andrzej mnie kochał, nie ciągnęłam go ku sobie.

MARTA

A co? jak to mogło być? Przecież mnie kochać — nigdzie we wsi tak się nie kochali jak my z Andrzejem. I stało się potem tak, że Andrzej zabił się z miłości do ciebie. To jedno mi powiedz, dlaczego cię tak pokochał?

ELŻBIETA

Nie wiem...

MARTA

Musiał ci o tym mówić. Bo chyba nie dlatego, że jesteś urodziwa, że wszystko jest w tobie jak z obrazu.

ELŻBIETA

O tym się nigdy nie wie. Nie pamiętam, jak to było na początku. Przychodził do ojca często, rozmawiał ze mną, a potem czatował na drogach, wszędzie był, gdzie ja byłam. Uciekałam od niego, prosiłam, aby szedł do ciebie. O tobie ciągle z nim mówiłam, że jesteś ładna, dobra, że ty dla niego to skarb.

MARTA

Tak mówiłaś?

ELŻBIETA

O tobie zawsze pamiętał, Marto, nawet wtedy, gdy do mnie przychodził. Mówił, że ja dla niego to jak choroba, jak nieszczęście i że ode mnie tylko śmierć może uwolnić... Nie lubił mnie pewno. Może nienawidził nawet? — A był ciągle... Lubił twoje oczy, twoje włosy, twój uśmiech. Mówił, że gdy się uśmiechał — to najtwardsze serce przeniknie twój uśmiech.

MARTA

Czy to możliwe? czy to możliwe?

ELŻBIETA

Może być widać tak jak z nim. Ze mną było mu ciężko, nie mógł sobie z tym poradzić. Nigdy mnie nie całował, bo wtedy...

MARTA

Co?

ELŻBIETA

Ja sama kochałam innego. Andrzej mnie nawet pocieszał.

MARTA

Jakże pojąć to, co mówisz?

ELŻBIETA

To nie wszystko. Tego najważniejszego nie mogę pamiętać, tej ostatniej chwili, gdy mu szepnęłam, aby zabił wójta.

MARTA

Tyś mu kazała? — Więc to prawda, co mówisz?

ELŻBIETA

Prawda... Potem odwrócił się i powiedział: „Uciekaj — nie już po mnie i tak!” Wtedy zabił się. Biegłam prędko — nie wiadomo po co, a on tam został. Ciągłe go widzę.

MARTA

Andrzej... Mój Andrzej!... Nic mi go nie wróci! Nawet to, co mówisz.

ELŻBIETA

Ale tobie lżej niż mnie. Bo dopiero wtedy, gdy to się z nim stało — zobaczyłam jaki był. Nie mogę go zapomnieć. Ciągłe we mnie żyje, — jakby nie umarł. Czy nie czujesz tego, że on jest?

MARTA

Nie ma go i nie będzie. Choćby nie wiem, jak się myślało — to cóż?

ELŻBIETA

A jednak — on jest... Od jego śmierci wszystko się zaczęło na nowo, niby po tych samych śladach, — niby on ten sam, ale przecież inny. Dopiero teraz prawdziwy. Ten Andrzej!... (Płacze).

MARTA

Co to? Płaczesz? Przecież go sama zabiłaś! I wójt, i ksiądz Anastazy zginęli przez ciebie. Nie ma na cię kary.

ELŻBIETA

Ja wiem, że muszę być ukarana. Ale przedtem, Marto, musisz coś zrobić dla mnie. To tak, jakby Andrzeja to zrobić. To jest wielka rzecz...

MARTA

Co takiego?

ELŻBIETA

Musisz mi darować... to, co się stało z Andrzejem.

MARTA

Darować?

ELŻBIETA

Powiedz, Marto, choćby to, że muszę ponieść karę, ale że ty mi darujesz tamto... że rozumiesz moje nieszczęście... Powiedz choćby to...

MARTA

Jakże to mogę rzec? Przecież... nie nie! Coś w tobie jest, Elżbieto, — nie mogę tego pojąć. Boję się ciebie, tak jak i Andrzej się bał. Wszyscy się ciebie wyparli, nawet twój ojciec. Leży chory, drżwi zaparł przed tobą, abyś nie weszła. (Pochwili). Co mi twoje nieszczęście? Mam swoje, któreś mi przyniosła. Nie oddasz mi przecież Andrzeja, a bez niego cały świat na nic! Po tym, coś tu mówiła o nim — jeszcze mi ciężej. Zabił się przez ciebie. Tyś go wtrąciła do grobu!

ELŻBIETA

Marto — jeśli nie powiesz, — jeśli...

MARTA

To co?

ELŻBIETA

Jakże mi będzie żyć... z tym ciężarem? Zrozumię przecież — to, że mnie nienawidzisz — nie zwróci ci Andrzeja. Nic tym już nie zdziałasz. Wyrzeknij się tej złości, — przebac Marto! Do nog ci się rzucam — przebac!

MARTA

Nie potraza mi tego, co czynisz. Wstań! Prawdziwie nie wiem, po co tu przyszedł? po co z tobą mówiłam (pragnie odejść).

ELŻBIETA

Marto! Marto (pada całym ciałem, z rękoma wyciągniętymi w stronę Marty).

MARTA

Nie wrócisz mi Andrzeja! (Odcodzi szybko).

Elżbieta po długiej chwili — wolno wstaje.



Stanisław Podlewski

# Przemarsz przez piekło <sup>8)</sup>

## Ostatnie chwile Starego Miasta

Napół szeptem, napół znakami, Jerzy daje rozkaz. Nie wolno otworzyć ognia, ani wykonać żadnego ruchu bez rozkazu. Czuje na sobie oczy chłopców, kontrolujących każdy jego ruch. Ponad ich głowami słychać głucho stapanie podkutych buciarów. Czy teraz zajrzą do podziemi? Kroki oddalają się. Napięcie nerwowe słabnie. Po chwili czujka znów anonuje. Czterech żandarmów. Każdy niesie około dziesięciu granatów. Porobiono z nich całe wiązki. Dwóch innych taszczy karabin maszynowy.

W pewnej chwili jak gdyby cień przebiegł przez okienko i coś smygnęło po ziemi. Instynktownie Jerzy wychyla głowę, dostrzega niemiecki handgranat, gwałtownie pociąga do siebie jednego z chłopców. Ciasną przestrzeń piwni rozsadza gwałtownie detonacja, gejerziemi kurzu i kamieni uderza o ściany, wiska się w usta i w oczy. I tak mocno przegrzane powietrze od ścian wypalonego domu, staje się gęste, że możnaby je rękami zbierać, nie chłodzi spieczonych warg. Oczy kłują od ziaren kurzu, a język przysycha do podniebienia. Wszystko to stwarza udrękę nie do zniesienia. Nie jeden chłopiec przerwałby swoje życie samobójczym wystrzałem pistoletu, lecz coraz to z głębi korytarza słychać głosy: ciszej, ciszej. Kroki oddalają się, detonacje powtarzają się w innej części zabudowań. Niemcy rzucają granaty okienkami do piwnic, jednak nie chcą zaryzykować wejścia doń i przeszukania ich. Boją się niespodzianek. Nieomal co godzinę wysuwa się przez okienko ręka uzbrojona w granat — znów wibrują odtanki.

Teraz Niemcy naradzają się pod oknami. Słychać wyraźnie ich słowa. W pewnej chwili przeziera przez okienko lufa cekaemu, czy Bergmana. Długie serie rżęją, uderzają o ściany, czasem nie więcej jak metr, nad głowami chłopców, odbijają się jak szalone we wszystkich kierunkach, rekoszują. Trzeba nieładną wytrzymałości nerwowej i odporności psychicznej, aby opanować napięcie do ostateczności nerwy, nie wydać jakiegoś głosu, czy choćby jęku. Równałoby się z niechybną zagładą. Wybuchy granatów i serie z broni maszynowej powtarzają się jeszcze kilka razy.

W pewnej chwili chłopcy słyszą nad swoimi głowami ostry zgrzyt podkutych buciarów. Niemcy rozmawiają, nie można dosłyszeć ich słów. Powstańcy odnoszą wrażenie, że Niemcy jak gdyby zaczęli kuć w sklepieniu otworzy, aby założyć ładunki dynamitowe i wysadzić ruiny w powietrze. Serce leci do gardła. Wizja straszliwej śmierci, pod gruzami stanęła każdemu przed oczyma. Rodzi się bunt w duszach. Więc mają się tak dać zamordować, bez walki?

— Panie poruczniku popruj — odzywa się któryś.

— Stać — osadza go wzrokiem Jerzy. Twarz jego ma wyraz głodnego, wściekłego wilka.

Te chwile oczekiwania wydają się wiecznością. Na szczęście znudziła się nieprzyjacielowi ta spraca, a pod wieczór uchylły salwy karabinowe, zaległa cisza.

### PRZEZ SASKI OGRÓD

Posterunki obserwacyjne zameldowały, że w pobliżu nie ma nikogo. Prawie bez szelestu, jak duchy wynurzają się z ruin magnackiego pałacu. Najpierw wypelza ostrożnie obsługa karabinu maszynowego. Zajmuje stanowiska w krzakach, aby ubezpieczyć wyjście. Chwila wymarszu odwleka się, gdyż ranny por. Morro stracił przytomność. Kilka łyków wody stawia go na nogi. Formują się trójki. W takim szyku maszerują Niemcy. Poza opaską białą - czerwona na ramieniu, niczym nie różni się od oddziałów SS. Są w ich panterkach i hełmach. Udają oddział nieprzyjacielski. Por. Jerzy zapowiada, że na czole będą maszerować „Drogosław” i „Witold”, dobrze władający językiem niemieckim i będą odpowiadać na wszystkie zapytania. Reszta ma być niemowami. W mrokach letniego wieczoru maszerują wśród starych znajomych kasztanów, topoli i klonów, naprzecią przez alejki i klomby, coraz zapadają w krzakach i krzewach. W odległości kilkunastu kroków zauważają kuchnię polową, wesoło bucha dym i rozchodzi się błogi zapach. Wokół rozbrzmiewają liczne głosy. Widzą też stanowiska salwowych moździerzy. Z jaką rekoszą wywarliby na nich swoją zemstę.

Nagle za sobą słyszą mocny warkot licznych motorów samochodowych. Pod mury owej kamienicy, którą przed chwilą opuścili zajęchali Niemcy, aby ją dokładniej przeszukać. Tymczasem powstańcy z bronią gotową do strzału, w szyku idą naprzecią.

Mijają asfaltową ulicę, przechodzą obok nagich żelaznych szkieletów zniszczonej palmiarni. Dalszą drogę zagradza im siatka. Wysuwają się do przodu Jerzy, aby znaleźć przejście, gdy odzywa się głos po niemiecku.

— Tędy nie przejdziecie.

— Wiemy, gdzie mamy iść, — odpowiada najpewniej Drogosław.

Niemcy patrzą zdumieni, jak posuwają się ku Marszałkowskiej, wprost na lufy powstańczych peemów.

Znajdują otwór w siatce, szybko przechodzą przez niego i kierują się ku ruinom Giełdy Zbożowo - Towarowej. Obok przyczało się gniazdo nieprzyjacielskiego C. K. M., mijając je wymieniają kilka słów z obsługą. Niemcy strzegają, aby iść ostrożnie, bo jest silny obstrzał. Pokazują rękami na osmalone szkielety domów Królewskiej i Marszałkowskiej.

— Damy im dzisiaj porządnie pić — kończy z nimi rozmowę „Drogosław”. Szybko dopadają do budynku giełdy, ruiny są puste i głucho. Po drugiej stronie ul. Królewskiej już nasi. Podciągają pod niski murek. Szybki tupot wielu młodych nóg, zerwał powstańczą placówkę. C. K. M. popruł zdrowo po murze, aż grad odprysków i iskier zasypał przyczajonych. Naraz jeden z chłopców schylił obok por. Jerzego zwiąja się i z łomotem pada zabity na gruz. Ginie od kuli kolegów. Ostatni z trzech ocalałych z kompanii „Giewont”. Zabrakło mu dosłownie tych kilku kroków. Powstańcy zaczynają skandować Starówka, Starówka! Nie strzelać „Radosław”. Placówka powstańcza przeczuwa jakiś podstęp niemiecki puszcza jeszcze kilka serii. Nagle ucicha. Szybko zrywają się, przeskakują ulicę, wołając wciąż „Nie strzelać! nie strzelać”. Dosłyszano ich. Wpadają w Zielną, zaścieloną gruzami, wciąż powtarzając „Nie strzelać! nie strzelać! „Radosław” — Starówka”. Wdrapują się na barykady. Po drugiej stronie wita ich otwarte ramiona współtowarzyszy walki. Otaczają, wypytują. Z Ogrodu Saskiego wciekle zaszczekał niemiecki C. K. M. Dowódca barykady sprawdza legitymacje kpt. „Trzaski”, por. „Jerzego” i ppor. „Morro”. Ktoś ich prowadził przez jakieś ciemne przejścia i barykady, poczem zatrzymują się w bramie domu. Teraz jedno jedyne pragnienie: wody i spać — spać jak najdłużej.

### DO MODLITWY!

Lotem błyskawicy rozniósł się po barykadach, piwnicach i schronach wieść „Starówka” przebiła się.

Zbiegają się zewsząd mieszkańcy i powstańcy, obdarzają chłopców papierosami, chlebem, czym kto ma. Zazwyczaj pytaniem o swoich znajomych, o poszczególne kamienice, ulice kościoły.

Ktoś przynosi wiadro wody. Chłopcy piją chciwie i długo.

Wszyscy mówią o nich z największym podziwem i radością. A oni czują się, jak człowiek ogromnie zmęczony, któremu z ramion spadł wielki ciężar.

Patrzą na por. Jerzego, swojego dowódcę.

Wyczuwa on największe życzenia swoich chłopców.

Pada komenda: Do modlitwy!

Ściągają hełmy z głowy! Z ust wybiegają słowa modlitwy Pańskiej. Te proste codzienne słowa brzmiały teraz z niesłychaną mocą, żarliwością i wdzięcznością, nigdy chyba nie odmawiali tak tej modlitwy.

Na zakończenie „Wieczny odpoczynek” za spokój dusz towarzyszy broni, którym oszczędzono ostatniego aktu tragedii powstańca, w murach płonącego Powiśla, Czerniakowa, Mokotowa i Śródmieścia...

Teraz szefowie kompanii mogli sporządzić listę strat. Nieudana akcja przebiecia okupioną życiem ponad stu pięćdziesięciu najdzielniejszych żołnierzy, ze zgrupowania „Trzaska”, „Zośka”, „Sosna”.

Poza wymienionymi już w akcji przebiecia, ten szaleńczy szlak, zaszli swoimi młodymi ciałami: z kompanii „Rudy” strzelec Sulakowa (Majewski Jacek), st. sierżant Kolka (Nantel Czesław), sierżant Korwin (Wiesiołowski Kazimierz), sierżant Edek (Drac Edward) i strzelec Patrik (Włodarczyk Kazimierz). Z innych kompanii ppor. Poraj (Kowalewski Stefan), sierż. podchor. Technik (Kieliszek Tadeusz) sanitariuszki: Wanda i Bronka. (Dziak Maria), kpr. Puma i st. strzelec Tygrys.

### A ŚRÓDMIEŚCIE OCZEKIWAŁO W TĘ NOC...

Około północy, a jest to ostatni dzień sierpnia, udają się Trzaska i Jerzy do Komendy Warszawskiego Okręgu. Idą powoli w ciemnościach przez barykady i przejścia, zatrzymywani przez patrole, dostają się do gmachu Pocztowej Kasy Oszczędności, na Świętokrzyskiej.

Chcą złożyć szczegółowe relacje gen. Monterowi, ale go nie ma, gdyż znajduje się swoim zwyczajem w linii; inspekcjonuje oddziały i placówki. Przyjmuje ich mjr. dyplomowany Chrung (Weber Stanisław), szef sztabu gen. Montera i mjr. Assesor.

Dowiadują się tutaj, że przebiecie innych oddziałów ze Starówki nie udało się. Poza niewielką ich grupą, sześćdziesięciu ludzi, nikt się nie zdołał przedrzeć. Są duże straty w ludziach.

Tego samego wieczoru, kiedy oni przebiejali się ze Starówki ściągnięto powstańcze oddziały z całego Śródmieścia, w rejon ulicy Królewskiej, Placu Żelaznej Bramy, Hali Mirowskiej i koszar policji granatowej, na Ciepłej. Było to niebezpieczne przedsięwzięcie. Na ogołoconych stanowiskach pozostawały tylko nieliczne i słabo uzbrojone grupy: opór ich mógł być załamany łatwo.

Od północy wszystkie oddziały Śródmieścia stały w pełnej gotowości bojowej. Okrzyk „Sosna”, „Sosna”, „Sosna” miał być hasłem dla nadciągających oddziałów. Przewidywano, że po przebieciu trzeba będzie utrzymać przejścia około sześciu godzin, aby mogły przepłynąć tłumy ze Starówki. Ogień miał być tak kierowany, aby nie raził własnych oddziałów.

Po północy na Placu Bankowym zerwała się gwałtowna strzelanina, detonacje odbijały się echem wśród pustych ścian. Na niebie kołysały się miarowo zyrandole i powoli spływały szkielety ruin.

Niemcy otworzyli silny ogień na stanowiska powstańcze. Serie granatników czyniły spustoszenie wśród oddziału powstańczego, ukrytego w Hali Mirowskiej.

W ciągu nocy kilka razy powstańcy zaprzestawali ognia. Dochodziły odgłosy, sądzono, że to nasi nadciągają.

Uderzenie powstańców ze spalonych domów ulicy Królewskiej odrazu ugrzęzło w ogniu broni maszynowej. Nie do przebycia stał otwarty teren ulicy i ogrodu Saskiego.

Nad ranem, kiedy już wiadomem się stało, że przebiecie jest nieudane, mjr. Zygonczyk (Steczkowski Stanisław), kierujący tą akcją wydał rozkaz oddziałom Śródmieścia powrotu na dawne odcinki. Opuszczając stanowiska w ogniu i w biały dzień ponosiły duże straty, zwłaszcza oddział powstańczy z Hali Mirowskiej został zdziśiatkowany.

Przez cały czas w pierwszej linii w najbardziej zagrożonych i wysuniętych stanowiskach przebywał gen. Monter ze swoim adiutantem. Widać jak ogromną wagę przywiązywał do tej akcji.

### DZIEJE BASI I INNYCH POWSTANCÓW, WZIĘTYCH DO NIEWOLI

Ale nie koniec tej historii przebiecia. Pozostawiliśmy sanitariuszkę Basię wśród gromady młodych esesmanów. Przeprowadzają tłumacza. Rozpoczynają badanie jej.

— Co jesteś za jedna?

— Sanitariuszka.

— Dowody.

— Nie mam, wyrzuciście mi je z torbą. Nie wierzę. Wysyłają jednego z żołnierzy. Po długiej chwili przynosi jej torbę, oczywiście zdążył zabrać sobie pieniądze.

Przeglądają jej papiery i znalezione przy zabitych oficerach. Naradzają się.

Każą jej stanąć twarzą do ściany. Wojaż około niej kręcą się i oglądają. W każdej chwili spodziewa się strzału w tył głowy, lub zhańbienia przez bandy esesmanów, a potem zamordowania.

W niespełna pół godziny, słyszy za sobą nielitościwe bicie kolbami, maltretowanie, kopanie. Dostrzegła kalku chłopców z grupy Topolnickiego, rannych, nadludźko zmęczonych i zbroszonych krwią. Każą jej dołączyć do tej grupy. Przechodzą obok zabitych Jana, Brata, Kruka. Jeden z eskorty wybiega, przykleka i robi zdjęcia, poległych powstańców.

Dochodzą do sklepu żelaznego Bruna, na Placu Teatralnym. Zastają tutaj starszego wiekiem powstańca z oddziału Topolnickiego. Ani na chwilę nieustają bicia i maltretowania. Młode esesmańskie pieski z ujadaniem doskakują do chłopców, oglądają ich buty, mówią, że teraz im się przydadzą. Pokazują na trupie czaszki i piszczele na swoich mundurach i zapytują czy wie co one oznaczają. Nadjeżdża samochód. Każą powstańcom ułożyć się w nim plackiem. Po chwili zatrzymują się. Basia poznaje kamienicę naprzeciw Szpitala Maltańskiego. Wśród świeżych mogił czuwają samotne świerki. Przed bramą kamienicy stoją silne posterunki, auta, motocykle, wozy pancerne. Zapewne tutaj mieści się komenda odcinka.

W bramie dostrzega znajomą twarz, jakiegoś oficera, z grupy Szniczy, starszego wiekiem. Jest sanitariuszka Irena z kompanii „Rudy”. Wiele słyszała o tej dzielnej dziewczynie. Przy wycofywaniu się z Okopowej wraz z kilku chłopcami, ze Słoniem (Gawin Jerzy) na czele — zostają odcięci od swojego zgrupowania.

Pod osłoną nocy śmiało przekradają się przez stanowiska nieprzyjacielskie, docierają do puszczy kaminowskiej, stamtąd na Żoliborz i kanałami powracają na Stare Miasto, do swoich oddziałów.

Wprowadzają Basię do jakiegoś mieszkania, odrazu widać, że należało do bardzo zaможnych właścicieli.

Teraz tu kwateruje pan generał. Familijne łóżko, odkryte siatka, jak w gorących krajach przed owadami.

Przy stole siedzi opasły mężczyzna, o nalatym i fadzystym karku, twarzy buldoga i nosem, jak purchawka. Nie przerywa sobie śniadania i tylko spojrzeniem ocenia urodę i postać dziewczyny. Z dużym apetytem pochłania sadzone jajka z pomidorami i szynką, w przerwach napychania się rzuca pytania.

Basia dopiero teraz odczuła głód. Uczuła dziwną nienawiść do tego człowieka.

— Czy znasz górny kanał? — zapytują ją.

Basia nie rozumie o co mu chodzi.

Nie orientuje się, że niemcy zachodzą, w głowę gdzie mógł zaginać liczny oddział powstańczy Jerzego i Morry, któremu udało się przebiec.

Basia, nie może przypuszczać, że zapadli w podziemiach na terenie pałacu Zamoy-skich, oddziela ich zaledwie szerokość ulicy Senatorskiej od kwatery generała.

W jednej chwili generał zapytuje ją.

— Ile znajduje się jeszcze na Starym Mieście?

Co odpowiedzieć myśli Basia, aby było najlepiej dla sprawy. Mniej czy więcej? W każdym razie nieprawdę — musi go zmylić i zdeorientować, więc odpowiada.

— Około tysiąca.

Jeszcze raz rzuca pytanie o jakieś górne kanały, a kiedy Basia nie umie odpowiedzieć, daje rozkaz, aby ją wyprowadzili.

Przed bramą orientuje się Basia, że przekazali ich w ręce Gestapo. Widziała, że to pewna śmierć. Pod eskortą z rękami wzniesionymi w górę dochodzą do ulicy Żelaznej. Następuje tutaj przesłuchanie. Zadają jej pytania. Dlaczego przystąpiła do powstania? Co robiła? Jaką miała funkcję?

Przy dokładnej rewizji znajdują gestapowcy u chłopców wiele amunicji, której nie zdołali się pozbyć.

Basię związują sznurem, z rannym powstańcem, że słowami pełnymi szyderstwa.

— Małżeństwo do grobu.

(c. d. n.)



# FOSTER PARENTS

Patrz str. 5.

szym samochodem“ — pisali potem z zachwytem.

**1 DOLAR = 100 ZŁ. PLUS 100 ZŁ.**  
Potakując ministrowi Forstner, gdy się entuzjastycznie bierze do pomocy dla polskich sierot, lecz mu przecież nie mogą powiedzieć o niechęci czy wręcz złej woli z jaką się u nas podchodzi do rzeczy tak oczywistej, jak ratowanie dzieci. Bo czym wytłumaczyć n. p. fakt zalegania przez Ministerstwo Oświaty przez kwiecień, maj i czerwiec, z subsydiami przyznawanymi najoficjalniej? To subsydium nota bene nie jest żadną łaską. Ponieważ oficjalny kurs złotego wynosił 100 zł., więc Ministerstwo dzięki mrówczym zabiegom, p. Żółtowskiego i życzliwej postawie

Wicemin. Kuczkowskiej, zgodziło się drugich 100 zł. dołożyć. Kto ponosi winę za niedotrzymywanie „ministerialnego“ zobowiązania? Nie wolno zapominać, że Organizacja delegowała p. Muggeridge do Polski, prosiła o to przez Polską Ambasadę w Waszyngtonie i Konsulat Polski w Londynie. Pomiedzy „Przybranymi Rodzicami“ widnieją nazwiska — p. Eleonory Roosevelt, p. Truman, profesorów uniwersytetu w Harvard i wielu, wielu osobistości, niewątpliwie znaczących w życiu USA. Tu nie chodzi o względy prestiżowe tylko. Taka n. p. Józefina egzystuje jedynie dzięki „Foster Parents“. Dzieci wydarte niemieckim bauserom od roku uczą się tam po polsku. Choć

7 dolarów = 1.400 zł. dzieci nie są głodne. Tak przynajmniej utrzymuje S. Bronisława. Nie można nie wierzyć Siostrze Bronisławie.

Liczba 417 „przybranych dzieci“ ma szansę podniesienia się do projektowanych 4.000. Wobec przyjazdu p. Blue sprawa nabiera rumieńców aktualności. To jest mało, bardzo mało, ale u licha coś znaczy. Wszyscy pamiętamy jak przez kurtynę zachęcało się młodzież szkolną do pisania listów do Ameryki. Rezultat — dziesiątki ton makulatury — przepraszam, najwspanialszej literatury, która nigdy nie zostanie przeczytana. Albo sprawa proteż szwedzkich. Niektórzy je nawet otrzyszali do „próbnego chodzenia“. Niektórym, pasowały, ale w myśl instrukcji odesłali. Wiele kałek w Polsce czeka na szwedzkie proteży, które zbyt długo nie nadchodzą.

Więc jeśli się już kleci jakaś robota efektywna, choć na niewielką skalę — powstrzymajmy się przynajmniej od gromadzenia kłód.

## ZEBY MLECZNE

Na terenie Polski działa cały szereg zagranicznych organizacji typu charytatywnego. Niektóre z nich jak n. p. pomoc szwedzka, mogą się poszczycić osiągnięciami, jakie w świecie statystyk będą się przedstawiały znacznie korzystniej, niż dotychczasowe wyniki działalności Foster Parents. Dlaczego więc pisze właśnie o „Przybranych Rodzicach?“ — Otóż wydaje mi się, że akcja Foster Parents choćby dzięki owym listom, nosi **najwięcej znamion humanistycznych**. Caritas w najbardziej chrześcijańskim tego słowa znaczeniu zdążyła tu przysłówiową yankeowską filantropię. Spotkałem się ze zdaniem, że „Amerykanie są tre-

sowani na dobroć“. Uwaga miała posmak ironiczny. Niestety. Bo czymże jest ostatecznie każda działalność pedagogiczna, jak tylko dążeniem żeby człowiek nie był człowiekiem wilkiem. Nie dajmy się sugerować pozorom mało istotnym i nie drwijmy z Del Rose Sutton, która w liście do rówieśnej Anielki donosi: „Wczoraj wieczór wyciągnęłam jeden z mlecznych zębów. Już dawno się ruszał i drugi ząb rósł za nim“. — Matka Helenki cierpi na epilepsję, ojciec nie wrócił z Oświęcimia, a sześcioro młodszego rodzeństwa krzyczy „jeść“. — Del Rose pisała po raz pierwszy. Myślę, że za rok korespondencja przyjaciółek będzie się obracała wokół spraw i faktów mniej błahych. Ważnym jest, że dziewczynki piszą do siebie. Ważnym jest nie tylko dla Helenki.

Nik. Rostworowski

Jerzy A. GÓRSKI

## Problem młodych małżeństw

W jednym z poprzednich numerów naszego tygodnika w rubryce „Czytelnika uważa, że...“, zamieścił mi list nadesłany przez p. Z. Ezupowicza, w związku z toczącą się już od dłuższego czasu polemiką na temat słuszności poglądów wyrażonych przez p. Zofię Z. Nie zamierzam bynajmniej zabierać głosu w dyskusji tej prowadzonej w sposób dość burzliwy, ani też komentować wypowiedzi p. Ezupowicza. Chciałbym jednak zwrócić uwagę czytelników na pewien doniosły problem poruszony „en passant“ przez naszego korespondenta.

Otóż w wywodach p. Ezupowicza znalazło się następujące zdanie: „Co do zagadnień seksualnych... to za życiowe rozwiązanie uważam zawieranie małżeństw w młodym wieku“. Tego rodzaju rozwiązanie nie jest rewelacją, nieraz można się przecież spotkać z podobną opinią, której w gruncie rzeczy trudno odmówić słuszności. Mimo to na podstawie tak — czysto teoretycznych rozważań, jak i poczynionych obserwacji należy raczej sądzić, że w chwili obecnej wzmiarkowane wyżej panaceum przeciwko wszelkim anomalom życia seksualnego, okazałoby się bezskuteczne a w pewnych wypadkach może i nawet szkodliwe.

Przed wszystkim musimy rozpatrzyć plusy i minusy małżeństw zawieranych w młodym wieku, przy czym wypada zauważyć, że ilość ich wzrasta stale w ciągu ostatnich lat. Przed wojną panowało u nas wszechwładnie przekonanie, które zresztą w pewnych kołach społeczeństwa utrzymuje się po dzień dzisiejszy, że małżeństwo winno być oparte na solidnych podstawach materialnych. Uważano, iż mężczyzna nie może się ożenić zanim nie osiągnie odpowiedniej pozycji społecznej, a co zatem idzie trwałych źródeł zarobkowania. Na t. zw. „małżeństwa studenckie“ patrzano z uśmiechem politowania. Wdzierająca się wszędzie pruderia spowodowała, że nawet w środowiskach odznaczających się wysoką moralnością opartą na zasadach całkowicie katolickich przyjmowano za obowiązujący aksjomat następujący wzór małżeństwa doskonałego: młoda niewiasta oczywiście „virgo intacta“ i znacznie od niej starszy mężczyzna zajmujący odpowiedni szczebel w hierarchii społecznej. Dobrotliwie zaś przyamykano oczy na to, co ów mężczyzna doświadczył do dnia ślubu; wybujałości „życia kawalerskiego“ stanowiła w niektórych sferach gwarancję późniejszej stateczności. Ogół społeczeństwa nie chciał, czy może nie mógł, zrozumieć, że zawierany związek może opierać się wyłącznie na uczuciu. I dlatego sceptycznie przyglądano się młodym ludziom, pragnącym wspólnie kończyć studia, wspólnie wejść w życie i poświęconym wysiłkiem gruntować swą pozycję i dobrobyt.

Jeszcze w latach przedwojennych nastąpiło lekkie złagodzenie powyższych poglądów, wojna zaś zmieniając radykalnie warunki życia postawiła całą sprawę na zupełnie innej płaszczyźnie.

Coraz częściej zawierano młode, czasami aż zbyt młode, małżeństwa. Fakt ten daje się wytłumaczyć bardzo prosto: Jednakowe trudności, niepewność futra, wspólna praca w konspiracji i wiara w te same ideały silnie zbliżyły do siebie młodych ludzi. Nie też dziwnego, że jednostki obdarzone wrodzonym poczuciem obowiązujących norm etycznych (a takich było bardzo wiele wśród naszej młodzieży) wchodziły, czysto zbyt późno, w trwałe związki uświęcone Sakramentem. Rolę katalizatora pełnił nasz przysłowiowy już romantyzm i optymistyczne spojrzenie w przyszłość „Jakże to będzie...“

Z biegiem lat okazało się jednak że znaczna część młodych małżeństw zawartych w okresie okupacji, przestała istnieć w dość krótkim czasie. Liczba rozwodów jest przerażająco wysoka, jak na nasze stosunki, przy czym nie obejmuje liczbnych małżeństw nie rozwiązanych de jure, natomiast de facto oddawna rozbitych. Jakże są przyczyny tych niewątpliwych faktów? Otóż w okresie wojny raczej rozumowe nie posiadały zbyt wielkiego znaczenia, dominował entuzjazm i wzniosły nastrój chwili. Później zaś przyszły nowe wrażenia, odsłoniła się szarzyzna codziennego życia, a w ślad za nią przychodziło i otrzeźwienie. Młody człowiek, który w konspiracji i partyzancie nauczył się myśleć samodzielnie i błyskawicznie rozstrzygać wszelkie zagadnienia — nie zastanawiał się długo nad raz powziętą decyzją. Uczucie było dla niego każde własne postanowienie. I dlatego nie brano problemów małżeńskich zbyt tragicznie: po prostu w wyniku koleżeńskich rozmów mówiono sobie „do widzenia“. A przecież, jeśli chodzi o młode małżeństwa zawarte w czasie wojny, nie wiedziały one niemal zupełnie, jaki istotny sens posiadają takie pojęcia, jak „dom“, czy „życie rodzinne“. Wytworzyły się wśród młodzieży osobliwe zamiłowanie do „silnych wrażeń“ na każdym polu, daleko posunięta niechęć do uświęconych tradycją sposobów postępowania.

Postaramy się teraz rozpatrzyć obecną sytuację na omawianym odcinku. Weźmy jako przykład młodzież akademicką. Trzeba przyznać, że sporo jest młodych małżeństw, gdzie obie strony uczą się i wspólnie zarabiają na utrzymanie. Małżeństwa te ze względu na zrozumiałe ograniczenia środków materialnych słazane są jednak na przymusową bezdzietność, i to na czas dłuższy, a zatem właściwie mijają się z celem. Z drugiej strony wypada zaznaczyć, że małżeństwo tego rodzaju daje sze-

reg pozytywnych wyników: wpływa dodatnio na pracę naukową, stwarzając odpowiednie ramy dla normalnego trybu życia, i przyczynia się do wytworzenia realnego podejścia do zagadnień życiowych. Nałożony obowiązek nie staje się hamulcem w rozwoju młodzieży indywidualności, wręcz przeciwnie rozwój ten przyspiesza i sublimuje.

Utarło się w naszym społeczeństwie fałszywe mniemanie o postępującej naprzód demoralizacji młodego pokolenia, szczególnie zaś młodzieży męskiej. Napozór wydaje się to niepozobawione cech słuszności: młodzi ludzie często idą po linii najmniejszego oporu, gonią za t. zw. „przygodą“, wygłaszają cyniczne nieraz uwagi na temat małżeństwa, udają (podkreślam udają) zwolenników ślubów cywilnych. Pierwszy z przytoczonych objawów spowodowany jest brakiem wyraźnych celów w życiu (grają tu rolę i względy społeczno-polityczne), co ważniejsze chcą nadrobić w beztrójskiego okresu, pochłoniętego przez najcięższe lata wojny. Dość powszechnie wyrażana nlewiara w trwałość instytucji małżeństwa znajduje zaś podłoże w faktach, o których mówiliśmy już poprzednio. W gruncie rzeczy młodzież męska nie zatraciła jednak ani swego idealizmu ani etyki — chwilowe zatamania wewnętrzne i wypaczenia charakterów, wynikają z rozmaitych urazów psychicznych, powstałych na tle przeważnie przernastających wytrzymałość młodych nerwów. Poza tym mamy tu do czynienia z inną jeszcze przyczyną a mianowicie specyficznym klimatem naszego obecnego życia.

Znacznie bardziej niepokojące przedstawiła się to samo zagadnienie „ważane pod kątem obserwacji życia młodzieży płci żeńskiej. W tym wypadku niestety łatwiej przyjąć można twierdzenie o zaniku ideałów. Brutalny materializm pustoszy dziś umysły i serca większości dziewcząt, które przekroczyły dwudziesty rok życia. Na wyższych uczelniach dostrzega się następujące zjawisko, studentki zupełnie wyraźnie stronią od zawierania męskich znajomości wśród kolegów uniwersyteckich, szukając ich wśród mężczyzn t. zw. dobrze sytuowanych (oczywiście zdarzają się wyjątki i to na szczęście dosyć częste). Marzenia o futrach i perlonach, stanowiące do niedawna przywilej sklepowych ekspedientek, niepostrzeżenie zakradły się do mentalności dziewcząt stojących niekiedy na wysokim poziomie, nie tylko intelektualnym, ale i moralnym. Trudno orzec kto ponosi winę za ten zatrważający stan młodych umysłów. Osobiście odnoszę wrażenie, że głównym czynnikiem jest tu przeciążenie, zmęczenie ciągłym borykaniem się z mniej lub więcej historycznie pojowanymi trudnościami, oraz chęć ułożenia so-

bie wygodnego życia. W niektórych konkretnych znanych mi wypadkach, chęć ta graniczy po prostu z tchórzostwem.

Powracając do punktu wyjściowego naszych rozważań stajemy po raz wtóry wobec konieczności wypowiedzenia się na temat słuszności i celowości małżeństw zawieranych w młodym wieku. Niewątpliwie małżeństwo stanowi poważny czynnik w podtrzymaniu moralnego zdrowia narodu. Zawarte zaś przez ludzi młodych posiada większą zdolność dostosowania się do obecnych warunków i stwarza dla obu stron większe możliwości produktywności dla państwa. Zerwijmy na zawsze z legendą Judyta. Człowiek, który wyrzeka się osobistego szczęścia nigdy nie zapewni go innym i nigdy nie stanie się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Taką postawę mogą zająć wyłącznie nieliczne jednostki

obdarzone prawdziwym powołaniem w pracy dla dobra ludzkości. I dlatego społeczeństwo, pragnąc przywrócić instytucji małżeństwa dawną treść i powagę powinno poddać rewizji swe poglądy, dotyczące młodych małżeństw.

Każdy wypadek należy ująć w sposób odrębny, różne są bowiem ludzkie charaktery i metody postępowania, różnie też przedstawiają się okoliczności, towarzyszące zawarciu małżeństwa. Toteż możemy się pokusić o wysnuenie jednego tylko wniosku: zawieranie małżeństw w młodym wieku jest zasadniczo zjawiskiem pozytywnym, pożądanym, winno być jednak oparte na rzeczywistych podstawach moralnych i pewnym minimum materialnym, inaczej szybko minie uczucie, entuzjazm ustępując miejsca niesnaskom i pogłębiającym się konfliktom wewnętrznym.

Jerzy A. Górski

## Sprawy papierowe i inne

W powojennym okresie wielkich ograniczeń i braku papieru, wszelkie wydawnictwa mierzyły się pod kątem zużycia tego cennego artykułu. Energiczniejsi publicyści wysuwali często wprost kategoryczne żądania odmowy przydziału, lub sprzedaży papieru na takie, a takie wydawnictwa.

Jak wszędzie tak i tu nietrudno było o przesadę. Pod płaszczykiem troski o papier, potrzebny przede wszystkim na podręczniki szkolne, (mówili) poszczególni piszący, lub ich grupy zatwardziali nieraz do osobiste, lub grupowe porachunki konkurencyjne.

Gdybyśmy poszli dalej, po linii esadu słowa od strony zużycia papieru, znikłaby z dyskusji rzecz istotna (słowo drukowane) a słyszeliśmyby w polemikach takie np. zdania. „Ob. X w swej publikacji nawet w 20 procent czyni zadość wymogom racjonalnego użytkownika papieru“ albo „Na leży bezwzględnie pociągnąć do odpowiedzialności wydawcę Y za zmarnowanie papieru na wydane przez niego bzdury“.

Ze „bzdur“ nie mało zostało wydanych pod różnymi postaciami, to fakt niezaprzeczalny. Jeśli się jednak o nich mówi, trzeba je oceniać niezależnie od zużycia papieru. Nie może on być nigdy miernikiem wartości słowa. Żywa myśl ludzka nie może być mierzona martwą substancją. Mo że ona być głupia lub mądra, ale nie dlatego, że została utrwalona na papierze. Miedzy ludźmi piszącymi szczególnie nie jest trudno o fanatycznych gorliwco. Całe szczęście że decyżna nie leży w ich kompetencji.

Cóżby to było? Ideologiczni przeciwnicy zmiażdżeni by zostali jak najskuteczniej w prosty sposób. Po prostu, nie otrzymaliby potrzebnego do druku papieru. (A macie, gadajcie sobie teraz do śiany). Likwidatorskie zapędy nieduwzacznie przemawiają dzisiaj w wielu wypowiedziach. Pewien poeta gotów byłby zlikwidować wszystko, co w sztuce nie jest z niego, lub z jego najbliższych. Trze-

ba zdać sobie sprawę z tego, że co jest doskonałością w oczach jednych, nie jest tym samym w innych. Literatura piękna nie kończy się na „awangardowych“ wywijasach, poza nimi istnieje dość pokaźna i o wiele wymowniejsza współczesna poezja i proza, które również potrzebują papieru do życia.

O ile pisarz na rynku zaprowadzony może sobie pozwolić na wydanie czegoś według własnego gustu, to debiutant musi być bardzo ostrożnym, jeżeli samotny, bez opieki „możnych“ próbuje cośkolwiek wydać. Łatwo się bowiem może narazić na miano „mar notrawcy“ papieru i w ten sposób zwichnąć sobie karierę w jej pierwszych krokach.

Tymczasem jakże jest obecnie z tym papierem. Jest go prawie pod dostatkiem, tylko ma jedną wadę. Jest stanowczo za drogi, co niemożliwie utrudnia kalkulację wydawnictwa. Oczywiście wszelkie wydawnictwa podręcznikowe szkolnych dysponują papierem do woli i nie jego brak stanowi istotną przeszkodę w wydawaniu podręczników. Największą trudność przy dużych nakładach, jak to fachowo przedstawił w „Przekroju“ (Nr. 109) p. St. B., stanowi techniczne opracowanie książki wydrukowanej, a więc oprawa, praca inroligatorska. P. St. B. ma tylko pewne zastrzeżenia co do sposobu i kontroli przydziału papieru.

Powróćmy więc w ocenie wydawnictw do starej zasady, określającej wagę publikacji z punktu widzenia wartości wyliczonych, niż cena papieru. Poniechajmy takich fiołków krytycznych jak ten: „Ob. X pozwolił sobie na wydanie podobnej błahostki w dobie powszechnego braku tak potrzebnych podręczników szkolnych“, bo może to i nie taka znow błahostka, a tylko złośliwość zazdrosnego konkurenta za taką ją uważa. W każdym razie podobna ocena napawa czytelnika mocną nieufnością.

B. Chęciński.



# Z zagadnień gospodarczych

## SUROWCE I ŻYWNOŚĆ

To co dla wielu pokoleń było tematem marzeń lub baśni, zostało dzięki rozwojowi techniki, osiągnięte przez ludzkość w ciągu ostatnich 100 lat. W rezultacie ogólna suma bogactwa wzrosła niepomniernie. Niestety geniuszowi i pomysłowości myśli ludzkiej w umiejętności szybkiego przysporzenia bogactw nie towarzyszy umiejętność użycia tych bogactw i rozdziału ich w sposób zapewniający maximum sprawiedliwości i dobra całej ludzkości. Szereg państw zmuszonych jest hamować rozwój produkcji lub ją niszczyć, pomimo, że w tym samym czasie tysiące ludzi przymiera głodem, lub węgtuje w najbardziej prymitywnych warunkach.

Czyż nie jest paradoksem palić w lokomotywach kawa, a pszenicę topić w morzu lub karmić nią bydło, by zapewnić opłacalność produkcji tych artykułów? Czy bez ograniczania przestrzeni upraw bawełny, hodowli owiec itp. nie można było osiągnąć należytej ceny wełny lub bawełny?

Sprawy te dręczyły ludzkość i były palącymi już przed wojną.

Dzisiaj, po wojnie problem uległ zaostreniu: o ile przed 1939 rokiem przyczyną zła był niski popyt na rynkach (przez popyt należy rozumieć siłę kupna na rynku) przy równocześnie istniejącej olbrzymiej podaży, to obecnie w wielu wypadkach podaż nie dorównuje nawet popytowi.

Sytuacja na światowych rynkach surowców i produktów żywnościowych jest jeszcze wciąż pod znakiem silnych braków. Na nielicznych odcinkach daje się zauważyć poprawę, jednakże światowa sytuacja żywnościowa jest mimo wzrostu zbiorów o blisko 7 proc. i zbliżeniu się do poziomu przedwojennego bardzo krytyczna. Tłumaczy się to głównie poważnymi przesunięciami geograficznymi w produkcji tzn. zmniejszeniu zbiorów w krajach europejskich na korzyść produkcji w krajach zamorskich oraz brakiem takiej organizacji przydziału produktów żywnościowych, która umożliwiłaby zaopatrzenie wszystkich krajów, które nie rozporządzają dostateczną ilością międzynarodowej siły nabywczej.

Istotnych różnic między sytuacją przedwojenną a obecną niema. Nie ulega przecie kwestii, że przeżywany dzisiaj kryzys żywnościowy miałby — pomimo niedostatecznej produkcji — znacznie lepszy przebieg, gdyby istniała możliwość przesuwania nadwyżek tam, gdzie istnieją deficyty. Rzecz sprowadziła się do sprzeczności między koniecznością puszczania w ruch mechanizmu, którego funkcjonowanie byłoby analogiczne do działania prawa naczyń połączonych.

W ostatnich latach objawiła się na terenie międzynarodowym duża aktywność, mająca na celu rozwiązanie problemu surowców i żywności. Świadczy choćby o tym fakt, że okres powojenny stoi pod znakiem licznych międzynarodowych konferencji gospodarczych.

Należy jednak zwrócić uwagę na to, że dająca się zaobserwować aktywność na odcinku rozwiązania problemów surowcowych i żywnościowych nie ma jednolitego charakteru.

Szereg konferencji i porozumień, które zmierzają do uregulowania stosunków panujących na rynkach surowców nie ma naprawdę międzynarodowego charakteru. Cechuje je duża ekskluzywność, co nie znaczy, aby dotyczyły one zagadnień interesujących małą grupę państw. Ekskluzywność tę tłumaczy tendencja państw produkujących (przede wszystkim państw anglosas-

kich) zachowania hegemonii na rynkach głównych surowców jak np. cyny, bawełny, stali itp. Państwa produkujące ujmują zagadnienie pod kątem widzenia ich interesu. Konferencje te mają na celu zanalizować sytuację rynkową oraz uzgodnić politykę poszczególnych producentów w sprawie gromadzenia zapasów danego surowca i interweniowania na rynkach światowych celem utrzymania równowagi cen. Nie ulega więc kwestii, że zadaniem konferencji jest zapewnienie rentowności i zysków producentów.

Monopolizowanie najważniejszych surowców jest niczym innym jak kontynuowaniem przedwojennej polityki producentów na tym odcinku, przy nieuwzględnieniu potrzeb i sytuacji finansowych państw konsumujących i biednych.

Rozwiązanie sprawiedliwego rozdziału surowców i żywności w skali ogólno-swiatowej może być realizowane jedynie przez permanentnie działającą instytucję o charakterze naprawdę międzynarodowym. Postulat ten został po raz pierwszy urzeczywistniony przez utworzenie Rady Gospodarczej i Społecznej stanowiącej integralną część organizacji Narodów Zjednoczonych, z tym, że regulowanie poszczególnych zagadnień gospodarczych powierzone zostanie oddzielnym instancjom powołanym w drodze specjalnych umów zawieranych między zainteresowanymi państwami. Jedną z takich organizacji jest Międzynarodowa Organizacja Rolnictwa i Żywności (FAO), a ponieważ niedomaganiami przedwojennego systemu występowały najwyraźniej w dziedzinie żywności — specjalną wagę należy do niej przywiązać.

Na marginesie działalności tej instytucji na podkreślenie zasługują próby rozwiązania rozdziału zasadniczych artykułów żywnościowych w ten sposób, aby — zamiast ograniczenia produkcji lub niszczenia względnych nadwyżek — dążyć do:

- 1) zwiększenia produkcji;
- 2) ulokowania znacznej jej części w krajach o normalnej sto-

pie życiowej i zdolnych płacić normalną cenę;

- 3) zaopatrzenie przy pomocy pozostałej części produkcji krajów o niedorozwiniętej strukturze gospodarczej i niepełnej konsumpcji na warunkach dostosowanych do ich możliwości państwicznych.

W ten sposób nie tylko pomoże się tym krajom, ale równocześnie przyspieszy się ich rozwój gospodarczy, tak by mogły stanowić w przyszłości pełnowartościowe rynki zbytu.

Przesłanki te były niewątpliwie podstawą projektu powołania w ramach FAO międzynarodowego Biura Żywności, które pracowałoby przy pomocy Centrali obrotu międzynarodowego najważniejszymi artykułami żywnościowymi do których byłyby zaliczone: zboże, cukier, mięso, tłuszcz, a również wełna i bawełna. Rozporządzając kapitałami pozwalającymi na utworzenie wielkich rezerw towarowych w granicach 50 do 100 proc. rozmiaru obrotu światowego w danym artykule, każda z centrali byłaby w stanie zapewnić względną stałość cenom ustalonym na pewne okresy czasu w drodze międzynarodowego porozumienia.

Gdyby ceny produktów rolnych na rynku światowym miały tendencję do zwiększenia przekraczając 15 proc. zaprojektowanego poziomu, Centrala przez sprzedaż posiadanych zapasów będą w stanie zachować zwyczaj. Przeciwnie, w razie spadku cen poniżej 15 proc. ustalonej ceny orientacyjnej spowodowana będzie odpowiednia zwyczajka cen drogą skupu każdej ilości danego artykułu. Rezultatem takich akcji byłaby niezapewnić sztywnej stabilizacja cen światowych. Tworzenie zapasów umożliwi producentom zbywanie krajom finansowo mocniejszym danych artykułów po cenach wyznaczonych. Międzynarodowe Biuro Żywności będzie w możności likwidować nadwyżki przez sprzedaż ich krajom głodującym na warunkach dla nich dogodnych. Tak podjęta ak-

cja zapewniłaby również opłacalność produkcji rolnej, którą uważać należy za *conditio sine qua non* rozwoju i podniesienia stopy życiowej wszystkich krajów nieuprzemysłowionych.

Powyższy system uważać należy za trafny, gdyż będzie on w dużym stopniu ograniczał straty jakie przyniosły wielkie wahania cen oraz spadek cen poniżej opłacalności. Poza tym będzie to pierwsza próba planowania w skali ogólnie-swiatowej.

Omawiany projekt nie został, niestety dotychczas zaakceptowany ze względu na (1) trudności w uzyskaniu potrzebnych kapitałów do finansowania operacji Biura Żywności, (2) duży opór Stanów Zjednoczonych przeciwnych systemowi daleko idącego normowania międzynarodowych zagadnień gospodarczych, w którym nie miałyby one zapewnionego decydującego wpływu oraz ze względu na (3) sprzeciw szeregu państw (np. Wielka Brytania), które są zmuszone do pokrywania znacznej części zapotrzebowania żywności importem, a nie mogą być zaliczone do państw najbiedniejszych, które mogłyby nabywać żywność po cenach zniżonych.

Zapewne, że projekty powyższe i tym podobne są objawem pocieszającym — świadczą o zrozumieniu konieczności postawienia problemu aprowizacji ludności na nowych zasadach. Praktyczne rezultaty są jednak żmilkome: względy polityczne, partykularyzmy gospodarcze, prywatne interesy sfer kapitalistycznych, brak udziału we wspólnej akcji takich państw jak ZSRR, tendencja Stanów Zjednoczonych użycia nawet zagadnień aprowizacyjnych jako narzędzia ekspansji — uniemożliwiają i jak należy się spodziewać jeszcze przez długi czas będą przeszkodą w likwidacji paradokсів wymienionych powyżej.

Również dalekie do rozwiązania, pomimo licznych konferencji międzynarodowych jest zagadnienie światowego rozdziału surowców.

(k).

## O WŁAŚCIWĄ PROPORCJĘ

Rozwój przemysłu jest obok utrzymania względnie podniesienia stopy życiowej świata pracy zasadniczym celem polityki gospodarczej Rządu, zarówno bieżącej jak i przyszłej, ujętej w ramy 3-letniego planu odbudowy.

To nastawienie polityki gospodarczej przede wszystkim na przemysł, jest wynikiem szeregu okoliczności.

Włączenie Ziemi Odzyskanych, których aport przemysłowy jest bardzo znaczny, narzuciło polityce gospodarczej Rządu konieczność przeobrażenia charakteru gospodarczego Polski z kraju o typie czysto rolniczym w kraj o typie mieszanym przemysłowo-rolnym.

Obawa przed procesami dekapitalizacyjnymi nakazywała dokonywania prac remontowych w warsztatach przemysłowych, gdzie zniszczenia były szczególnie rzucające się w oczy.

Jednakże wydaje się, że u podstaw przemysłowego kierunku polityki gospodarczej leży przekonanie, że dopiero przez silny rozwój przemysłu można osiągnąć rozwój innych dziedzin życia gospodarczego, a więc całości gospodarki narodowej. Konsekwencją tego poglądu jest przesunięcie w 3-letnim planie na dalsze miejsce przede wszystkim rolnictwa. Wyrazem tego stanu rzeczy są cyfry. W planach inwestycyjnych kwoty preliminowane dla resortu rolniczego wynoszą na 1947 r. — 10 proc., na 1948 r. —

7 proc., na 1949 r. — 8,5 proc. ogólnej kwoty planu, przy równoczesnym spadku cyfr bezwzględnych, które dla kolejnych lat wynoszą 10,6 mld. zł., 9,2 mld. zł. i 8,5 mld. zł.

Zasadniczym warunkiem ogólnego rozwoju gospodarczego kraju jest równomierny rozwój wszystkich dziedzin gospodarczych, a w szczególności równowaga w rozwoju przemysłu i rolnictwa. Oczywiście, że w pewnych okresach może zachodzić konieczność faworyzowania pewnej dziedziny, jednakże zjawisko to musi być ograniczone w rozmiarach i w czasie.

Stopień jaki zajęło rolnictwo w hierarchii celów, ustalonej na okres trzylecia wydaje się zbyt niski.

Rolnictwo wyszło z wojny straszliwie zniszczone. Wszystkie składniki kapitału rolniczego, a więc ziemia, inwentarz żywy i martwy oraz budynki uległy ogromnej dewastacji, zarówno na skutek działań wojennych jak i polityki okupanta.

Pomimo znacznego zwiększenia się przemysłowego potencjału produkcyjnego, Polska nie jest i nie może być krajem przemysłowym. Możliwości ekspansyjnych gospodarki polskiej na terenie międzynarodowym szukać należy przede wszystkim na odcinku rolnictwa, a ściślej biorąc przemysłu rolnego, opartego o silną produkcję surowcowa.

Nie tylko jednak względna postulat polityki długofalowej wyma-

gały przesunięcia rolnictwa w planach gospodarczych na wyższe miejsce. Domagają się tego również względy całkiem doraźne.

Jest rzeczą oczywistą, że czynnikami obecnie hamującym, w szczególności akcją inwestycyjną jest żywność. Zawisko to stało się dość wyraźne, kiedy ustała pomoc UNRRA i na skutek złych warunków atmosferycznych, stan zasiewów jest niezadawalający. Pod tym względem sytuacja obecna jest odmienna od przedwojennej, kiedy czynnikiem hamującym był brak dóbr inwestycyjnych i przemysłowego aparatu produkcyjnego przy nadmiarze środków żywności.

Rozwiązanie problemu żywnościowego pozwoli na osiągnięcie przez Polskę bardzo wysokiego stopnia samodzielnosci gospodarczej, co w aktualnych warunkach polityczno-gospodarczych jest okolicznością ogromnej wagi. Z tego również powodu należałoby poddać rewizji politykę rolnictwa w planie odbudowy, a w szczególności w planie inwestycyjnym.

Jeżeli nawet w okresie budowy planu tzn. w ubiegłym roku, ówczesna sytuacja uzasadniała tak dalece przemysłowe nastawienie planów gospodarczych, to obecna sytuacja w szczególności na odcinku międzynarodowego życia politycznego i gospodarczego nakazuje dokonanie radykalnych zmian na korzyść rolnictwa.

## REALIZM NAKAZUJE

W związku z wszechstronną analizą stosunków polsko-czechosłowackich w ciągu ostatnich miesięcy, na uwagę zasługują ciekawe wnioski, na ten temat W. Jastrzębowski (Myśl Współczesna I. 1947).

Autor ujmując zagadnienie pod kątem widzenia ogólnych problemów Europy Środkowej, stwierdza, że głównym powodem wojny była przewaga gospodarcza Niemiec nad jej sąsiadami. Jak długo bowiem będą istniały poważne dysproporcje gospodarcze między Polską i jej sąsiadami wschodnimi, tak długo aktualną będzie ekspansja Niemiec na wschód, ekspansja która w rezultacie prowadzić musi do zbrojnej agresji.

Równorzędność gospodarcza krajów Europy Zachodniej pozwalała Niemcom zwrócić się tylko ku południowo-wschodowi i wschodowi, a słabość gospodarcza wschodnich sąsiadów — przy równocześnie istniejącym potencjale przemysłowym Rzeszy — wyznaczała neutralny kierunek ekspansji niemieckiej.

Poprzez infiltrację gospodarczą (szczególnie duży wpływ niemieckiego wyposażenia technicznego na rozwój produkcji w w. państwach) uzależniły Niemcy od siebie gospodarczo „pas słabości” Europy środkowo-wschodniej.

Jednym z realnych środków zaradczych, który może zapobiec powtórzeniu się procesu z okresu międzywojennego jest stworzenie silnego organizmu przemysłowego w „pasie słabości”. Podstawową rolę co do powyższego odgrywają Polska i Czechosłowacja w stosunku do których ekspansja gospodarcza zmieniła się najszybciej w ekspansję polityczną.

Problem jest aktualny zarówno dla Polski jak i dla Czechosłowacji. Dla stworzenia jednak organizmu, który miałby cechy jednolitości musi istnieć współpraca i koordynacja planów inwestycyjnych obu państw.

Wnioski powyższe są nie nazbyt przekonujące, a należy tylko ze specjalnym naciskiem podkreślić, że do osiągnięcia tego celu nie jest wystarczająca współpraca polegająca jedynie na zawieraniu korzystnych umów handlowych czy też zблиżaniu na polu kulturalnym.

Naczelną zasadą winno być rozwiązanie najważniejszych zagadnień gospodarczych pod kątem widzenia ich przydatności dla integracji ekonomicznej obu państw. Współpraca musi być więc ujęta w ramy systemu który polegałby na uzupełnieniu i koordynacji wszystkich dziedzin gospodarczych.

Możliwości tak pojętej współpracy są realne, wymagają jednak szerokich studiów i dużej umiejętności planowania.

## KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostyni i. wojew. Warszawskie

„Tych wszystkich, którzy stali się w obozie w Dachau z ś.p. ks. BRONISŁAWEM DREWNIKIEM, uprasza się o łaskawe podanie dotychczasowych go szczegółów pod adresem:

ks. mgr. Fr. Kryszak, Czermin, k/Pleszewa,



# Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu treści listów.

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

### Katolicyzm małuczkich

„O tu felix culpa...”. Słowa te mają wydzźwięk dziwnej aktualności, jeśli zastosować je do nagłego i niespodziewanego dla wielu odrodzenia katolicyzmu w różnorodnych jego przejawach po ostatnim kataklizmie wojennym. „Felix culpa” to nie tylko okropność wojny, uzmąwiające nam aż nadto dobrze, do czego jest zdolne stworzenie, noszące przecież obok innych i przydomek „animal sociale”, to przede wszystkim generalny atak materializmu pod różnymi postaciami na nieumocnione i dostatecznie pozycje par excellence humanistycznego światopoglądu chrześcijańskiego. Ostrość tego ataku postawiła przed nami, katolikami, którzy ze względu na wyznawane przez siebie zasady są po prostu predestynowani na obrońców praw i zdobyczy ducha, pałacą konieczność wypracowania nowych form dla wiecznie żywej treści, zawartej w Piśmie św. i Tradycji Kościoła Chrystusowego.

Rezolucja tego zadania jest głównym hasłem tak wspaniale zapowiadającego się „Risorgimento” katolicyzmu na całej prawie kuli ziemskiej. W Polsce katolicki personalizm jest właściwie jedyną kontradikcją, walczącą skutecznie szczególnie na polu kulturalnym z marksistowskim kolektywizmem i etatyzmem. Ilość i poziom katolickich pism kulturalnych oraz popyt na nie najlepiej o tym świadczą.

Czy jednak w s z y s t k i e idee, w szczególności zaś ekonomiczno-socjalne i polityczne, są wyznawane, a przynajmniej przemysłowane, przez większość katolików polskich? Czy nie są one własnością w sensie moralnym jedynie ich c z e ś c i? Czy można mówić o jakimś pełnym uświadomieniu ideowym naszego społeczeństwa katolickiego? Próbą odpowiedzi na te pytania pragnie być właśnie niniejszy list.

Każde zbiorowisko wyznawców jakiejś religii, a więc także i katolików, można podzielić zasadniczo na trzy części. Pierwsza to ci, którzy są naprawdę katolikami jedynie z metryki, którzy o wyznawanej nominalnie przez siebie wierze przypominają sobie tylko w chwili wypełniania rubryki „wyznanie”, ślubu, chrztu dziecka („dla świętego spokoju”), lub, jakże często, na łóżu śmierci. Postawą tych ludzi jest całkowity indyferentyzm religijny, mogący przybrać zależnie od okoliczności odcień życzliwy lub wrogi.

Do drugiej kategorii zaliczamy tych katolików, którzy zwracają uwagę jedynie na, że się tak wyrażę, formalną stronę religii, którą wyznają. Katolicyzm, to według nich regularne chodzenie do kościoła, przystępowanie co pewien czas do spowiedzi i Komunii św., w ogóle spełnianie przepisanych praktyk religijnych. Niezmiernie często występują tu wypadki krańcowe, zwłaszcza wśród członków i członkiń takich organizacji jak: sodaliczki, bractwa itd. itd., których to wypadków prototyp znaleźć możemy w świetnej bajce Krasickiego o dewotce, która mówiąc w pacierzu słowa „I odpusć nam nasze winy, jako i my odpuszczamy”, była jednocześnie swą służką.

Trzecią wreszcie grupę tworzą katolicy, dla których polem działania była i w imię Chrystusa i Jego Nauki, jest życie we wszystkich swoich przejawach. Modlitwa, tym, jak to definiuje katechizm, „podniesieniem duszy do Boga”, jest dla nich przede wszystkim czyn. Potrzeba czynu, jako jednego z najdoskonalszych sposobów chwalebnia Boga, zmusza ich nieraz, wobec braku precedensu, wśród częstych potknięć i pomyłek, do wypracowania nowej idei, nowej doktryny, która umożliwiłaby postępowanie zgodne z zasadami ka-

tolicznymi w takiej dziedzinie życia, co do której Kościół określił jedynie główne wytyczne działania.

Nie trzeba chyba udowadniać, że katolicy zaliczani do pierwszej i drugiej grupy stanowili i stanowią pod względem ilościowym przewagę i to znaczną, nad katolikami — aktywistami. Walka tych ostatnich o ideały Chrystusowe musi być z konieczności prowadzona na dwa fronty: jednym z nich jest ciężkie zmaganie się z nacierającym materializmem, drugim zaś jest niemniej trudna i odpowiedzialna praca nad uaktywnieniem jak największej masy katolików. „de nomine” lub katolików — formalistów, nad przepojeniem ich życia prywatno — publicznego duchem rzetelnego katolicyzmu.

W związku z tym wyłania się na plan pierwszy problem wytworzenia najbardziej w skutki owocnych metod działania. Tezy podane poniżej noszą charakter szkicu węglem, mającego na celu przede wszystkim wniecenie nad nimi dyskusji.

Jeśli chodzi o pierwszy rodzaj katolików t.zw. katolików „de nomine”, to najbardziej istotną stroną zagadnienia zwerbowania ich jest, według mnie, uwytknienie szczególnie atrakcyjności i aktualności katolicyzmu w dobie dzisiejszej. Należy raz na zawsze skończyć z nonsensownym mitem głoszonym z godnym naprawę lepszej sprawy zapalem przez adherentów „Kuźnicy”, że człowiek inteligentny, wykształcony, w ogóle jednostka o t.zw. szerszym poglądzie na świat musi być niejako z natury ateuszem. Absurd ten, badany właśnie metodą empiryczną, którą rzekomo tak chętnie posługują się wyznawcy materializmu diadektycznego, nie wytrzymuje zupełnie krytyki. O jego niedorzeczności z którą łączy się bez pośrednio dwa inne slogany: „religia jest rzeczą prywatną” i „religia — to opium dla ludu”, trzeba uświadamiać społeczeństwo przez tworzenie sui generis klubów katolickich dla wszystkich warstw ludności, a więc nie tylko dla inteligencji, w których katechumeni (używając wyrażenia Andrzejewskiego), mieliby możliwość zapoznania się z prawdziwym obliczem katolicyzmu, biorąc przede wszystkim udział w rzeczowych i wszechstronnych dyskusjach. Poza tym pożądaną byłoby upowszechnienie i „unowocześnienie” (w dodatku tego słowa znaczeniu) takich religijnych pism popularnych jak: Rycerz Niepokalanej, Posłaniec Serca Jezusowego itp., które ze względu na swą popularność i taniocę są najbardziej dostępne dla szerszego ogółu niżeli np. Tygodnik Powszechny czy Znak.

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

### Obskurne obyczaje

Jesteśmy łatwowierni. Kto? My, tak zwani spirytualiści, fideiści, czyli inaczej specjaliści od znajomości spraw niebieskich. Nic dziwnego za tym, że przy naszej łatwowierności nie trudno w nas wmowić przeświadczenie, że zarozumiiałemu „Odrodzeniu” nie brak sił na zamiary odegrania kulturotwórczej roli w społeczeństwie. W tej zbożnej wierze utwierdzeni, przystępujemy do lektury ambitnego tygodnika, zdobnego w błyszczące nazwiska, zerkamy ku Camerze z ostatniej strony w nadziei uraczenia się wykwintnym humorem i tu spotykamy nas zawód.

Ledwośmy przekneli ciężkostrawny kometarny, którego trywialność osiągnęła poziom „Szpilek”, gdy nagle... Co to?! Shocking! Zdaje się, że już kiedyś poznaliśmy podobną sytuację. Zaraz... gdzie to było? Gdzie się toczył ten trochę nadto ożywczy dialog między podekscytowanymi lokatorami, dialog na którego fortissima i pianissima padały niby mocne akordy — wyzwiska? O ile nas pamięć nie zawodzi za dekorację

## ODEZWA

Pod Wysokim Protektoratem J. E. Ks. Kardynała Adama Stefana Sapiehy Księcia Metropolitę Krakowskiego i Pana Dr. Kazimierza Pasenkiewicza, Wojewody Krakowskiego — wznawia przedwojenną swą działalność obywatelski komitet odbudowy Opactwa Tynieckiego.

### Do Społeczeństwa.

#### P O L A C Y !

Opactwo Tynieckie leży w gruzach. Niedługo przegładały się w falach wiślanych wyniosłe wieże kościoła, dumne mury i groźne baszty obronne, dziś sterczą na tynieckiej skale resztki zabudowań, poszarpane nie tylko biegiem lat, ale i ogniem i wojną.

Przed z górą dziesięciu wiekami powstało opactwo tynieckie, gdy za Kazimierza Odnowiciela krzepły zręby państwowości polskiej. Kiedy potęgę Polski w XV wieku dochodziła do szczytu i Tyniec przeżywał

okres swojej świetności. Gdy zaś Rzeczpospolita skłoniła się ku upadkowi, także opactwo tynieckie, wstrząśnięte wojenną zawieruchą zachwiało się, a gdy zaborcy rozdarli naszą Ojczyznę, opactwo w Tyniu z ich ręki otrzymało wyrok śmierci. Wola Narodu dźwiga z ruin całą Polskę. Odbudujemy miasta, wsie i miasteczka — powstają nowe warzaty pracy.

W tym wielkim dziele odbudowy nie może być pominięty Tyniec. Nie może Starodawne Opactwo, świadek i pomnik naszej wiekowej świetności i kultury pozostać w stanie ruiny. Przez wieki było opactwo tynieckie ośrodkiem usilnej pracy dla najwyższych wartości duchowych — musi nim stać się na nowo!

Dziś gdy Stolica Apostolska Encykliką wzywa świat katolicki do odbudowy zniszczonego wojną opactwa benedyktyńskiego Monte Casino — czas i nam przystąpić do odbudowy Tynca.

Tyniec to dziedzictwo świętego Wojciecha — św. Benedykta był on

jej uaktywnieniem jest jeszcze bardziej trudną i ciężką, aniżeli nad kategorią pierwszą. Komplikuje ją zwłaszcza konieczność pokonywania najrozmaitszych urazów i przeszkód, powstałych wskutek mylnej interpretacji Nauki Chrystusowej i zasad w niej zawartych. W bezpośrednim z tym związku pozostaje zagadnienie gruntownej reformy różnego rodzaju organizacji religijnych jak np.: Sodaliczka Mariańska etc., przede wszystkim zaś tych, które organicznie niejako zrosnięte są z parafią. Postulat reaktywizacji życia parafialnego głoszony przez JOC jest niemniej aktualnym w Polsce niż we Francji, a o niebezpieczeństwie wynikającym z zastój życia wewnętrznego w takiej np. Sodaliczce uświadamia nas chyba dostatecznie list kol. A. B. zamieszczony w jednym z numerów „Dziś i Jutro”.

Dylemat wyboru pomiędzy Sodaliczka i Z. W. M. jest zniemającym symposium temporis, świadczącym o ekspansywniej atrakcyjności młodzieżowych organizacji marksistowskich, której młodzi katolicy zarówno pod względem zapału jak i uświadczenia ideowego niestety nie zawsze mogą się skutecznie przeciwstawić. Proponowane antidotum w postaci zakładania nowych organizacji chyba moim zdaniem celu, gdyż nie chodzi tu jedynie o zmianę nazwy lub zarządu, ale przede wszystkim o przetworzenie ducha, przepajającego poszczególne jednostki.

Praca nad odrodzeniem prawdziwego katolicyzmu mas o to najpoważniejsze zadanie stojące przed katolikami aktywistami. Zadanie to, połączone nieraz z walką przeciw dulszczyźnie i kołtunerii, nie obfituje w efektywne i natychmiastowe wyniki. Ale wykonanie jego jest konieczne, jeśli chcemy, by walka o rząd dusz zakończyła się naszym zwycięstwem. Dwa hasła: „Omnia instaurare in Christo” i „Periculum in mora” — niech nam w niej przyświecają.

Maria Budzanowska

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Sadzę, że po ogłoszeniu listu p. Karskiego winniem pewne wyjaśnienia, jeśli już nie autorowi listu, to przynajmniej Czytelnikom naszego tygodnika. Czyntę to jedynie dlatego, że fakty podane przez p. Karskiego są zbyt jednostronne i tendencyjnie nasświetlone i to w dodatku w sposób dla mnie krzywdzący. Właściwie po wystąpieniu p. Karskiego, powinnem przestać pisać, złamać pióro i... gloryfikować (ustnie, ustnie!) „Wielki cień”. Nie uczyniłem tego jednak a postaram się w sposób możliwie rzeczowy zobrażować stan faktyczny, zamiast wdrażać się w bezpłodną polemikę, której próbkę podał nam w swym liście p. Karski.

W nr. 13 „Dziś i Jutro” ukazała się notatka, na podstawie której p. Pytlakowski wspierany przez p. Karskiego, zaskarżył mnie jako autora do sądu koleżeńskiego o obrażę. Wrażliwość p. Pytlakowskiego jest aż nadto znana: już raz, ma jeszcze ub.r., miał ochotę zaskarżyć mnie do sądu koleżeńskiego za... cudze notatki. To mówi wiele za siebie. Jednocześnie wraz z podpisem na skardze p. Karski przynosił odpowiedź na wystąpienie w „Dziś i Jutro”. Zaniósł je do „Nowin Literackich”, zaniósł je do „Warszawy”. Pisma te jednak nie chciały drukować tego ataku na mnie, o czym zresztą powiadomili mnie lojalni redaktorzy maczelnii tych pism. Wydrukowało „Odrodzenie”, ale — jak pisze p. Karski — artykuł „odleżał się sześć tygodni w tece redak-

cyjnej. Dziwna zbieżność faktów i artykuł „leży” sześć tygodni, lecz jednak zdążył ukazać się na dwa dni przed terminem zebrania się sądu koleżeńskiego, o którym to terminie p. Karski jako członek zarządu SUP niewątpliwie wiedział, ja nie insynuuję, a stwierdzam fakty. Sapientii sat.

Dlaczego nie odpowiedziałem na atak p. Karskiego w „Odrodzeniu”? Był on skierowany przeciw anonimowi, kim był anonim p. Karski nie wiedział, choć kładł podpis na skardze do sądu koleżeńskiego. Mogę więc nie odpowiadać, tym więcej, że poziom napastliwy odpowiedzi, aż nadto dyskryminuje p. Karskiego. Jego bezstronność w moim sporze jest zdumiewająca. I tu jest właśnie jeszcze jeden z aspektów, który świadczy przeciw znakomitemu tłumaczowi p. Karski jest redaktorem literackim „Wielkiego cienia” i managerem — jeśli mi wolno to tak określić — p. Pytlakowskiego na terenie zagranicy. Komu więc potrzebny jest mój o bezstronności? Czytelnikom? Chyba osądzą sami.

Lestaw M. Bartelski

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

W związku z wyczynami Panów współpracowników ob. Chochlika Drukarstwa, który wykazał na niwomego artykułu „Epidemia awantur czy mania tymczasowości” (Nr. 23 (80) z 8 czerwca br.) niezwykle ożywioną działalność, uprzejmie proszę o publiczne zawiadomienie, że moim zdaniem:

- 1) na str. 2, szpalka 5, wiersz 23 od góry — zamiast „pełen” winno być jednak „pełni”, bo wprawdzie proces może być również „pełen ironii”, jakby chciał ob. Chochlik, ale już może przy innej okazji;
- 2) na str. 3, szpalka 4, wiersz 13 od góry — zamiast „jesli już nie je” winno być „jesli już nie je”;
- 3) na str. 3, szpalka 5, wiersz 5 od góry — zamiast „śmiejąc choć bałagalną wiarą w lepszą przyszłość;” tym razem ob. Chochlik okazał się prawdziwym aktywistą i uzupełnił bezinteresownie zbyt suchy, jego zdaniem, okres własnym komentarzem, za co mu jestem wdzięczny, ale niebardzo.

Z poważaniem  
Kazimierz Winkler-Augustowski

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Drogi Panie Redaktorze!  
Ja bardzo grzecznie i spokojnie, maweb przymilnie, ale tym mnie mniej... z zażaleniem.

Skarżę się na to, że marnujecie Panowie w dobie powszechnego oszczędzania papier, drukując na nim artykuły w których trudno doszukać się jakiegokolwiek sensu.

Sprawę pogarsza fakt, iż na takie przybosioidalne niezrozumiałstwa poświęca się całą kolumnę. Niech Pan weźmie, Panie Redaktorze, 24 numer swego pisma. Na stronie 8 znajduje się tam elaborat Mieczysława Markowskiego p. t.: „O kulcie Chopina”. Cała kolumna. Niech Pan łaskawie to przeczyta. Czy można z tego ocołkowiek zrozumieć? Absolutnie nie.

Pomijam już fakt, iż w wierszu 15 od dołu na drugiej szpalkie autor poplątał nazwisko Aury Duderant z jakąś bliżej mi nieznaną Duderant, ale proszę mi na przykład wytłumaczyć jak można transportować zmysł sluchu na zmysł wzroku, (10 wiersz od dołu w szpalcie 3-ciej. Ja, panie Redaktorze, gdybym był korektorem, stanowczo poprawiłbym autora i napisałbym transportować.

A w ogóle poczawszy mniej więcej od połowy szpalki trzeciej, mętnictwo autora zaczęło być nieznośne.

Godzi się nad tym biedziłem, ale jakies wyjście znalazłem. Wydaje mi się, że wystarczy po wierszu 37-mym od dołu w szpalcie trzeciej, po słowach: „Listy niech...” wstawić całą partię, poczynając się od słów „staną się dla nas słowem wiążącym” (nr. 45 od dołu w szpalcie 4-tej), a kończąc się zdaniem „który tak byłby się przydał choremu Chopinowi” (w. 35-ty od góry w szpalcie 5-tej), a następnie dotychczas pozostałą resztę nie już w niej nie przetasowywując, aby całość wypadła jako takto.

Ale z jakiej właściwie racji ja mam pomagać autorowi. Serdecznie Pana pozdrawiam, Panie Redaktorze, dołączając specjalnie wyrazy uznania korektorowi i personelowi technicznemu „Dziś i Jutro”. Mieczysław Markowski

Komitet Odbudowy Opactwa Tynieckiego.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71.Konto P.K.O. — Nr. I-727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5, m. 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30 — 13.30.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartałna 120 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-81390